



PISMA J. I. KRASZEWSKIEGO

Z RYCIAMI HENRYKA PILLATEGO.

POD WŁOSKIEM NIEBEM.

FANTAZJA

J. I. KRASZEWSKIEGO.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-83

Doznasz, co w sobie zamykają rany
Miłości, co jest być od niej związany;
Bo cię zwycięży, a ty zwojowany,
Cięższe na nogach poniesiesz kajdany.
Z. Morsztyn (XVII w.)



WARSZAWA.

NAKLADEM HENRYKA NATANSONA.

1857.

№ 1724



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 3 (15) Kwietnia 1856. r.

p. o. Starszego Cenzora, Radca Honorowy,

A. BRONIEWSKI.

w Drukarni J. Jaworskiego.

1724-1728



POD WŁOSKIEM NIEBEM

POWIEŚĆ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Komuż się z nas czarowne Włochy nie sniły? Kto nie zapragnął poklonić się stolicy świata Rzymowi, i pomodlić u grobu świętego Piotra i odetchnąć powietrzem, które napępiało pierś tylu poetów, artystów, tylu świętych i wielkich ludzi. Mało być musi chłodnych i umiarkowanych, co do tego szczęścia nie westchnęli nigdy, bo co roku prawie kraj nasz expediuje do Italii pod pozorem choroby znaczny transport szczęśliwych swych dzieci, a przyznam się, że na widok tych wybranych, którym danem było oglądać ziemię obiecaną, zawsze mi się robiło jakoś tęskno, i czulem prawie zazdrość w sercu. Żem marzył o podróży do Włoch długo i uparcie, nie tyle może dla gruzów rzymskiego świata, co dla świętości miejsca i plodów sztuki szczęśliwie wykwitłej na rumowisku dawnych wielkości, żem pragnął zobaczyć Rzym, przyznając się ze wstydem. Wiem dzisiaj i wierzę z Emersonem, że zaniósłbym tam siebie i znalazł to tylko, co bym wywiózł z sobą, że możemy spotkać więcej jednym zawodem, i zapracował na tęsknotę, ale i dziś jeszcze odzywa się we mnie to pragnienie. Dawniej towarzyszyła mu nadzieja, teraz lata jej siły ujęły, ale wspomniawszy Rzym, Wenecyę, Florencyę, Neapol, Herkulanum i Pompeje, wzdycham jeszcze. W jednej z tych chwil tęsknoty, napisałem powieść z fantazyą, którą te słów kilka poprzedza, byłem osamotniony. Zaczytałem się w Dancie, przypomniał mi się obraz wystawiający karnawał rzymski na Corso, na który długo patrzałem w Horodczu, i tak urodziła się ta powiastka. Nie trzeba w niej szukać nic więcej nad to co zawiera, — obrazek odgadniony w marzeniu, zapewne nie całkiem trafny, ale może za to żywy.

Na nici pajęczej tej fantazyi uczepiłem malutką myśl, zresztą nie nową, o marności tego uczucia, którego cała powieść jest pełną. Widziałem nie jedno życie złamane tem pragnieniem idealnej miłości, która rzadko wykwita na świecie, a nie

nasycą nigdy. Wypowiedziałem com myślał. Ale głównie chodziło mi o obrazek, o którego wartości sam sędzić nie mogę. Wkrótce po wyjściu książeczki w Lipsku, hrabia Aleksander Przedziecki, który wówczas podróżował i znajdował się właśnie w Rzymie, ztamąd przesłał mi list z kilką o niej słowami. Przypominam sobie, że to był jedyny niemal sąd, który na mnie zrobił trwalsze wrażenie.

Hrabia zarzucał mi w opisie karnawału przeniesienie go z dnia na noc, co nie ma miejsca, ale dziś jeszcze przerzucając powiastkę, zostawuję tę dobrowolną niedokładność, bo tak mi się jakoś ten szal karnawałowy na tle nocy włoskiej lepiej i prawdziwiej wydaje niż we dnie. Jest to omyłka umyślna.

Do drugiego zarzutu dały powód słów kilka wciśnionych tu o Rafaelu, osądzonym ze stanowiska szkoły nowo-katolickiej Overbecka, Veita i ich naśladowców. Nie jestem zwolennikiem archaizmów w sztuce umyślnych, ani sądzę, że formę naśladowając uwiecznim w niej ducha, bo przez ducha formę się zdobywa, nie przeciwnie, wszakże powtórzę tu jeszcze, że stosunkowo do Perugina, do Fra-Angelico, geniusz Rafała więcej jest pogański, mniej wiarą niż starożytnością natchniony. Czuć w niem ichtnienie Grecyi i Rzymu, nadające formę postaciom nie swojego świata. Kłękam przed Madonną Rafała, ale gdy maluje Psyche, znajduję go w swoim żywiole daleko więcej niż gdzieinąd. Słanianiem przed nim głowę, ale gdy mi się modlić zechce, przedziej pokłękne przed Matką Boską jego nauczyciela, niż przed Syxtyńską.

Szkola Overbecka pojęła to dobrze, ale pojawiwszy, zle uczyniła udając się do form starych, bo przez formę nie idzie się do ducha, zamiast cudzą pożyczac, nową zgodną z wewnętrznem swem usposobieniem — utworzyć należało.

Tyle o naszej powieści, dla której prosimy o pobłażanie.

Zytomierz, d. 6 Grudnia 1855. r.

I.

Amor, ch'al cor gentil ratto s'apprende,
Prese costui della bella persona,
Che mi fu tolta, e'l modo ancor m'offende.
Amor, ch'a null'amato amar perdona,
Mi prese del costui piacer si forte,
Che, come vedi ancor non m'abandona.
Amor condusse noi ad una morte:
Dante, *Inferno*. Can. V.

— Tak szedłem z pierwszego okręgu w drugi, mnięj miejsca zajmujący ale więcej boleści, boleści co jęk wyciska. — Tu Minos zasiadł straszliwy, gromiący; on u wnijscia bada winę; sądzi i potępia przepasaniami. — Tak mówię, bo gdy dusza przeklęta przed oblicze jego przybywa; cała się przed nim spowiada; a ten rozeznawca grzechu — Widzina jakie miejsce zasługuje w piekle, i tylekroć przepasuje się ogonem, ile stopni w głąb piekieł zniść ma dusza. — Tłum zawsze przed nim, przychodzą, każda z kolei przed sąd, mówią, słuchają i lecą stracone.

— O ty, co przybywasz w boleści gościne, — rzekł do mnie Minos, ujrawszy, zawieszając uroczyste sądy swoje, — Patrz jako wchodzisz, i w co ufasz, niech cię szerokość wnijscia nie uwodzi. — A przewodnik mój do niego rzecze: — Czego nań wolasz? — Nie broń mu jego fatalnej podróży; tego chcą tam, gdzie mogą co chcą, nie pytaj o więcej. — Tu poczną się boleśne jęki; przybyłem, kędy wielkie płacze w uszy mi uderza. — Dościgłem miejsca niemych ciemności, miejsca wrzającego jak morze burzliwe, gdy niem przeciwnie wiatry miotają. — Wicher piekielny, co chwili nie spocznie, porywa duchy w swym pędzie, i dręczy jemiotając niemi, uderzając je o siebie — Gdy staną nad brzegiem urwiska; wznoszą się krzyki, łkania i jęki, bluźnią naówczas moc Bożą. — Dowiedziałem się że męczarnią tą, karani są grzeszni ciałem, których rozum uległ chuci. — I jak ptaszyna unoszą się na skrzydłach kupami licznymi i spieszniemi, w czas zimy i burzy, tak pęd ten unosi złe duchy. — Ztąd, z owąd, z góry, z dołu, wir niemi rzuca, i żadna siła im nie doda nadzieja; ani końca męczarni, ni nawet spoczynku. — I jak żurawie lecą nucąc pieśń swoją, długimi pasy zwijając w powietrzu; tak lecące widziałem duchy w jękach. — Duchy niesione pędem wichru. I rzekłem: — Mistrzu, jakimi to duchy burza tak miota?

— Pierwsza z tych dusz, o których chcesz wieści, rzekł do mnie, panowała nad mnogimi języki. A tak ją złamała rozpusta, że prawem dozwoliła wszelkiej roskoszy, aby uniewinnić siebie. — To Semiramis; o której czytamy, że nastąpiła po Ninusie, a była mu żoną; panowała nad ziemią, którą Soldan trzyma. — Drugą jest, samobójczyni z miłości, która złamała przysięgę złożoną popiołom Sichea; po niej rozpustna Kleopatra. — Ujrzałem Helenę, dla której tyle lat upłynęło nieszczęśliwych, ujrzałem wielkiego Achilla, który padł w miłosnej walce. — Ujrzałem Parysa, Tristana, a potem wskazał mi więcej tysiąca duchów, i powiedział imiona tych, których miłość wyгнаła z naszego świata. — A gdy mi przewodnik mój nazwał wszystkie kobiety starożytnego świata imiężów; litość mnie ucisnęła stanąłem jak przybity. — I począłem: Poeto! życzylibym mówić z temi dwoma duchy, które razem lecą, a tak lekko zdają się unosić z wiatrami. — A on do mnie: — Zobaczysz, gdy się do nas przybliżą, naówczas wezwiesz ich przez tę miłość, która ich unosi, a zbliżą się ku nam. — Jak tylko wicher ku nam ich przypędził, podniosłem głos. — O dusze strapione, przyjdźcie pomówić z nami, jeżeli wam tego nie nie broń. — Jak dwa gołębie, które żądza woła, z otwartymi

skrzydły lecą spokojne do słodkiego gniazdka, przerynąc powietrze, niesione jedną myślą. — Tak te dwie dusze wysunęły się z tłumu gdzie była Dido, i dążyły ku nam przez zarażone powietrze, przyjaznem wezwaniem pociągnięte. — Istoto wdzięczna i łagodna, która odwiedzasz nas w tych ciemnościach, nas, cośmy świat krwią naszą zarumienili. — Gdyby król świata był dla nas łaskawszy; modlibyśmy się do niego o spokojność dla ciebie; za litość twoją nad nieszczęściem naszym. — Mów coś chciał nam powiedzieć, powiedz co od nas chcesz słyszeć; będziemy słuchać, opowiadać będziemy, póki wiatr jak teraz wytrwa uciszony. — Leży ta ziemia, która mnie zrodziła, nad brzegiem morza, kędy Po upływa, przed goniąciami uciekając rzeki. — Miłość, co szybko szlachetne serca porywa, miłość objęła towarzysza mego, ku ciału temu, które mi wydarto, dziś mi jeszcze boleśną śmiercią. — Miłość, co kochanemu nie kochać zabrania, tak mnie upoiła szczęściem kochanka, że jak widzisz, trwa dotąd jeszcze. — Miłość ku wspólnej powiodła nas śmierci, Kaina piekło czeka zbójcę naszego. — Takie były ich słowa. — Gdy wysłuchał duchów cierpiących, spuściłem oczy i potem trzymał je spuszczone, aż mnie poeta spytał: — O czem myślisz?

Zebrawszy się na odpowiedź, zawolałem:

— Niestety, przez ile marzeń słodkich, przez ile żądy przeszli do tego nieszczęsnego końca! — Potem obróciłem się ku nim, ozwałem i rzekłem: Francesca! twoje męczeństwo do łez we mnie smutek i litość porusza. — Lecz powiedz, w czasach słodkich westchnień, jak, kiedy, miłość poznaliście swoją i pragnienie nieobjawione? — A ona do mnie: — O! nie ma większej boleści, jak wspomnieć na szczęśliwe czasy w cierpieniu; mistrz twój wie o tem. — Chcesz wiedzieć koniecznie o początku naszej miłości, ja ci powiem; lecz mowa moja będzie w pół żłami, w pół słowy. — Czytaliśmy dnia jednego dla rozrywki, jak miłość ogarnęła Lancilotta, byliśmy sami, nie lękali niczego. — Kilka kroć czytając, oczy się nasze spotykały, zarumieniły twarze, ostatnie wyrazy nas zgubiły. — Gdyśmy przeczytali jak czuły kochanek pocałunek złożył na ustach uśmiechem otwartych, wielbionych; ten, od którego nic mnie nie rozdzieli. — Cały drżący dotknął ust moich — książka i ten co ją napisał, stali się dla nas Galeottem. — I dnia tego jużeśmy nie czytali więcej. — Gdy jeden z duchów tak mówił, drugi płakał tak gorzko, że z litości nad nim osłabł, jak skonanina bliski. — I padłem jak trup upada — — —

II.

Jan czytał piątą pieśń Danta, — której tu dalismy nieforemny zarys, nie mogąc oddać, o co napróżno kusićby się było, tego nieopisanego, nie odtworzonego wdzięku mowy, muzyki słów, jaki ma w oryginalu, — czytał zadumany, sparty na oknie, a oczy jego błądziły po zielonościach widoku, co się przed nim roztaczał czarujący. I usta machinalnie, powtarzały nie jeden raz, przerywając sobie to westchnieniem, to zadumą kamienną.

— Nessun maggior dolore
Che ricordarsi del tempo felice,
Nella miseria —

Oparty na Dancie, skończył piątą księgę i nie czytał już także więcej, — dumał, roił. — Jak Francesca i jęj kochanek nad przygodą Lancillota, Jan uczuł, powtarzając nieporównany ten ustęp Danta, potrzebę miłości; a gdyby obok ust jego w tej chwili znalazły się różowe usta kobiety; przygoda Franceski

byłaby może odtworzyła się, wcieliła raz jeszcze. Jan dumiał głęboko. — Wnijdźmy w myśli jego i spojrzmy jak lecą płomieniste w kraj ideałów młodzieńczy. — Miłość, miłość, — powtarzał w duchu — stworzył ją ktoś w nieszczęśliwej godzinie, na rozpacz i narzekanie wieczne tych, co głupi, łatwowierni, a podsyćceni nieopisaną żądzą niepojętego na ziemi szczęścia, chwytają odważnie za znikomą marę. — Miłość taka, o jakiej nam piszą ciągle, o jakiej marzym, jakiej się spodziewamy aż do utrapionej starości, co nas z rajy marzeń ognistym mieczem wypędza — taka miłość, to utwór niepodobny, to Gryffon, to Syrena, to Centaur, jedno z tych stworzeń poetycznych, co żyją na marmurze tylko, w obrazach, w słowach poetów.

To fałsz — to fałsz, nie ma takiej miłości — a spodziewać się jej — dzieciństwo, a wyglądać — szaleństwo, a święcić jej życie — głupstwo.

— O czym że to tak zapamiętałe dumasz oparty na księdze, z oczyma wlepionymi w lazury niebios, w zielone wieniec drzew ogrodu?

— A to ty, jak się masz?

— Nie wywoływałem powitania, prosiłem o odpowiedź, o czym dumasz?

— O czym? powiedz mi sam, o czym dumać może dwudziestosześcioletni młodzian, wyłysiały przed czasem, przed czasem zrażony, odczarowany.

— To choroba wieku, jak cholera azyatycka grasująca.

— O czym może dumać — biedny.

— Pytanie było tylko dla formy: wiem o czym myślałeś, a gdybym nie domyślił się wprzód, spojrzenie na piątą księgę Danta, na ustęp o Francesce Rimini, nauczyłoby mnie tajemnicy.

— Dla kogo żem ja i życie moje tajemnicą?

— Tajemnicą — dla nikogo, zagadką dla mnie pierwszego.

— Tyś młodym starcem.

— Tyś biednym szaleńcem.

— Nie lituj się nademną; nie chcę litości.

— Zapewne wolałbyś radę.

— Nie chcę rady; rada pochodzi od rozumu i nikomu nie poradzi.

— A gdyby pochodziła z serca?

— Z jednego płynie krew, drugie gdyby się nawet otwarło, wypłynęłaby zeń tylko ciepła woda.

— Dziękuję za ciepłą wodę.

— Tyś z nią szczęśliwy.

— Bez wątpienia. Ale dajmy pokój zagadkowej rozmowie. Jakże, nie się nie zmieniło?

— Cóż się odmienić mogło w położeniu mojem. Jam zawsze ten sam, ludzie ci sami, trzeba szukać innych.

— Powinszuję gdy znajdziesz.

— O! znajdę, jestem tego pewien — zawołał Jan z zapalem. — Wiesz Adamie, nie cały świat, nie wszystkie kobiety zimne, lodowate jak nasze. Cóż one winne, że się urodziły pod niebem północy? One też są mu podobne; często jasno lazurowe, częściej chmurne, mgliste i niepewnych barw szarych, zimne, płaczące — ale nigdy nie ozłocą się, bo ozłocić nie mogą, płomienistemi blaski włoskiego nieba, niebios południa. — Nasze kobiety muszą być jakimi są, i dziwi mnie, żem wprzód spodziewać się mógł, marzyć, iż między niemi znajdę dla serca mego kochankę. Gdzie? u nas. U nas, gdzie miłość na rozkaz przychodzi, odchodzi niepostrzeżona i nigdy głębiej plewki sercowej nie wrasta.

— Tak sądzisz — ?

— Tak jest.

Jakżem szczęśliwy, żem się w kraju ożenił!

— Jakżem rad, że się nie ożeniłem!

— Biedny szaleńcze!

— I cóżem winien szaleństwu memu? Od dzieciństwa, książki, pieśni, powieści, ludzie, wszystko mnie kołysało, paliło, jątrzyło jakąś idealną, potężną, silną miłością. Zaczawszy żyć, począłem jej szukać: winienemże, iż jej znaleźć nie mogę przynajmniej u nas.

— Nigdzie!

— A! Na Boga, nie mów mi tego; jakże żyć bez tej nadziei.

— Żyć jak wszyscy; obejść się bez ambrozji i przyzwyczać do prozaicznego piwa.

— Na cóż mi obiecywano ambrozją?

— Dla czegożes w nią wierzył?

— Jakżem nie miał wierzyć! Człowiek ma wrodzone pragnienie jakiegoś szczęścia nieopisanego, niepojętego. Wcielić go może tylko miłość jedna, chwila tej miłości, której szukam, za którą gonię, którą gotów jestem opłacić męką całego życia — więcej może. A w koło mnie lody! lody!

— W lodzie wszystko się doskonale przechowuje, jest to pierwiastek konserwacyjny.

— Pierwiastek nieżywego życia. Wam go wystarczy, wam zimnym, prozaicznym, rozmiarującym życie na drobne miarki i używającym go powoli, rozumnie, — obrzydliwie — ale mnie?

— Gdybym nie wiedział ile masz lat, sądziłbym, że szesnastoletni dopiero młodzian stoi przedemną. Jakżeś naiwpy!

— Jakżeś szyderski, nieznośny!

— Seryo, mój Janie, miałbym ja prawo powiedzieć ci to, a zamną byłby ogół, byłby sąd powszechny.

— Bo też jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, tylko wyjątki są wielkością, życiem, geniuszem, poezją; tłumy są tłem dla wyjątków, lub materią dla nich.

— Pojmuję gdy mówisz o geniuszach, o wielkościach, ale o excentrycyzmie?

— Każdy excentrycyzm ma w sobie zaród wielkości; wszystko co nie zwykłe, dąży jedną stroną swego objawu ku czemuś wielkiemu. Ludzie, żeby im nie wstyd było, wysmieli wszystko, co nie idzie ich drogą. A śmiech, to broń potężna u ogółu.

— My się widzę nigdy zrozumieć nie potrafimy.

— To bardzo być może — a niemniej kochać się będziemy. Nie mów jednak nie rozumiemy. Zrozumiemy się owszem doskonale, ale nie dzieląc przekonań, będziemy się nad sobą litować wzajemnie.

— O! litość moją masz całą, biedny mój przyjacielu; i jak nie miałbym się litować nad tobą? Tyś najniezszczęśliwszy ze wszystkich nieszczęśliwych, bo gonisz za niedoścignionem, żadasz niepodobnego. Jesteś jak ten coby chciał pojąć nieskończoność, rozmierzyć wieczność. Ale czemu nie starasz się raczej wyleczyć z choroby?

— Daj mi lekarstwo!

— Lekarstwo? Najprostsze, homeopatyczne. Similia similibus — miłość, kobietę. Weź żonę, weź kochankę, znuź się miłością, zużyj roskoszą, a rozczarujesz.

— Nie rozumiesz mnie! Tyś ciałem i ciałem mierzysz ducha. Ja nie chcę roskoszy ciała.

— Szaleństwo! Ciało tak jest związane z duszą, że w naszym świecie, roskosz duszy nie może nie być

razem w pewien sposób roskoszą ciała; roskoszą ciała nie może nie być roskoszą duszy.

— Materyalista!

— Chciałbyś miłości bez nadziei?

— Bez nadziei czego?

— Posiadania.

— Może; byleby była silna, namiętna, płomienista — szalona — wzajemność.

— Dobryś! zawołał Adam — sofistykujesz; taka wzajemność ciągnie za sobą posiadanie.

— Tak! gdyby na drodze nie leżały obowiązki do spełnienia — przeszkody święte.

— Namiętność wszystko łamie.

— Nie! namiętność wszystko tylko osładza. I nie ma boleści, która by się w niej nie stała roskoszą.

— Nie rozumiem.

— A! nie dziwię się! Ty nigdy nie pojdziesz, co nad twoją naturę i część tobie ukazanego twoim charakterem świata wychodzi. Tobie zawsze wydawać się będzie nienaturalnym, co nie twoje, dziwnym czego niepodzielasz.

— Srogis dla mnie.

— Wybacz, drogi Adamie. Ja i siebie niemniej srodze gromię. — Jam i sobie ciężki. O! gdybyś był kiedy w duszy mojej.

— Lituję się nad tobą. Ale nie masz-że sposobu?

— Przynajmniej, nie podany przez ciebie.

— Tany: — dać cel życiu wielki, piękny, szlachetny i silnie zajmujący.

— Głodnemu, zrozpaczonemu i oszalonemu głodem, dajże pracę, daj cel? On na brata rodzzonego porwie się głodny, on się stanie...

— Każ sobie krew puścić, Janie.

— Krew wypuścić, powiedz, nie puścić — bo to co wam pomaga, mnie nie pomoże. Aby się pozbyć trawiającej żądz, trzeba by ją wylać do kropli. Ale cóżem winien? powiedz sam — com ja winien? Na co poeci, na co pisarze, na co świat cały spółnik tego ohydneho oszukaństwa, za młodu ukazuje nam w powietrzu ideał niedościgniony? Wszak nie jeden jak ja zapewne, zapali się tą miłością ku miłości i zginie lecąc ku niej, jak ku ogniu błędnemu? — Wszak nie jeden popsuje życie całe nadzieją i zawodami, przeklnie zużytą marnie młodość, przepłacze starość bez wspomnień. Na co malujecie niebyty, nicości, ideały? To zdrada niegodna? Na co kobiety w tej spółce kłamstwa pozornie grają namiętność, gdy w sercu mają tylko rachubę, przywiązanie chłodne, lub nałóg poczciwy? Dla czego od dzieciństwa, od lat dziecinnych, kiedy się iskra zapala, gdy ją wiatr młodości rozdyma, nie wołacie co chwila, nie wołacie w uszy wychowańcom: — Nie ma takiej miłości na świecie, nie ma takich roskoszy na ziemi! — Dla czego, nie wychowujecie zimno do życia zimnego, obojętnych do obojętności, rachunkowych machinek, do machinalnych stosunków społeczeńskiego życia wazego! — A potem, gdy zbyt zaufany, gdy oszalony, rozmarzony, pijany wyleci między was, z gorącemi żądzami w piersi młodzieniec, wy przyjmujecie go śmiechy, szyderstw, okładacie mu po niewczasie lodem głowę, lodem serce, puszcacie mu krew z piersi lub kamienujecie nazwiskami pogardy. Cóżem ja winien? — Tyś nic nie winien, odpowiedział Adam, przyznaję owszem, żeśmy my winni! Masz słuszność, cały świat jest w tej spółce oszukaństwa, a świat jak wiesz dzieli się na dwie wielkie kategorie, — oszukiwanych i oszukujących. Kobiety nasze nęcą miłością której dać nie mogą.

— Nasze! nigdy. — Lecz jest kraj!

— Ty myślisz że to się dzieje klimatem? Szukasz ducha, a myślisz o wpływach na ciało? Monteskiuszu!

— Powiedziałeś sam, ciało piastuje ducha i wychowuje go.

— Wierzysz w zasturzałego Monteskiusza, z jego klimatycznymi klasyfikacjami?

— Wierzę, we wszystko wierzę, co mi daje nadzieję. — Wierzę w to, że świat w późniejszych wiekach nie będzie tém czem jest. Świat będzie wielką człowieczą gospodą — gospodą całej ludzkości. — Nie będzie krajów, nie będzie plemion, nie będzie ludów, będzie ludzkość jedna, jedno-plemienna, cała. A jak dziś bogaci mają mieszkania na pory roku, tak ziemia zmieni się w przeznaczone dla ludzkości w różnych stopniach i porach wieku i rozwoju gospody. — Młodzi, zapaleni, rozmiłowani w miłości jak ja — pójdą na wschód i południe. Tam będzie kraj namiętnych, kraj rozkochanych, kraj poetów. — A gdy stygnąc poczną, posuwać się będą ku zachodowi, ku północy, ku umiarkowanym strefom, ku zimniejszemu współbraciom. Wąska stara zużyta Europa, będzie naówczas szpitalem niedołężnych starców, wygodnym lożem chorych, co przemyślając o zysku i dobrym bycie spokojnie, hać się przestaną, żeby ich ciszy nie zakłócił głos namiętniejszy dziatwy. Na wschodzie będzie młodość, na zachodzie, północy, starość, tam namiętność, tu rozum. — I będzie kraj dla uczonych, kraj dla szalonych, kraj dla pasibrzuchów, kraj dla spekulacyi metafizycznej, kraj nauki. — Na jednej polowicy kuli ziemskiej kołysać będą rodzaj ludzki, na drugiej go wychowywać, na innej strefie kwitnąć będzie miłość, w innej porastać mchami zardzewiała etarość. — Głupcy składać naówczas będą jedno wielkie państwo, — głupcy będą brać wynalazki żywcem od sąsiadów, korzystać z nich, a nad wyszukiwaniem nie biedzić. — Kraj mędrców, wiecznie ogłodzony, zasycać będzie plody swemi młodości strefa, gdzie wszystko rodzi bez pracy, gdzie wszystko dają bez nagrody, gdzie co piękne, co szlachetne, co wielkie — to święte i szanowne. — Tu Jan zamilkł, a Adam zażywszy tabaki, zmierzył go oczyma powolnie, ruszył ramiony i podszedłszy ku oknu potrząsł głową, jakby mówił do siebie: Biedny, biedny człowiek. — A chcąc zapewne odwrócić rozmowę i z drogi marzeń zejść na bity gościniec realności, zapytał po chwili spożyczku Jana, który w pół zdrtwiałą siedział nieporuszony: Cóż Emilia?

— Emilia! — Rajski kwiatek z lodu — podobna tym zwodniczym owocom wielkich pańskich stołów, co są barwami owocem, a we środku zimno-słodką wodą. — Tyś ją tak zapamiętała kochał.

— A! I czemuż jeszcze kochać nie mogę! Połowę życia dałbym za to — ale możnaż kochać posąg?

— To kobieta w całym blasku piękności, z całym urokiem rozumu, wykształcona.

— To ją gubi.

— Co? wykształcenie?

— Zbytek rozumu i wykształcenia. — Zresztą wszystkie nasze kobiety, z pod zimnego nieba naszej północy, dzielą się na dwie kategorie. Na zimno-poczciwe i zimno-występne. Mam szacunek dla pierwszych, wzgardę dla drugich, ale dla żadnej nie mogę mieć miłości.

— Zawsze się rozbijasz jak o skałę o definicyą teogouczucia.

— Wiem to sam najlepiej.

— Wzięłaś coś wyjątkowego za правило. — Dla

czegoż nie zaspokoić się miłością uczciwą, umiarkowaną i dającą wielkie rękojmie przyszłości?

— Bo mi takiej nie wystarcza.— Wolę nie, niż zawody, wolę nadzieję do końca, niż rozpacz na wieki. Miłość jaka tobie szanowny Adamie wystarcza, aż do zbytku, dla mnie niedostateczna, jest karykaturą tylko. Moja Emilia—gdyby na nią patrzeć zdala, gdzieś z ziemi ku obłokom, gdyby sto lat nie mówić, nie zbliżyć się i nie nad wejrzenie od niej nie żądać—byłaby bóstwem.

— Łapię cię na nielogiczności— mówiłeś wprzód że nic nie żadasz?

— Nic nie żądam, ale chcę aby mi oddano wszystko bez wyjątku, bez rachunku, bez oglądania na jutro — bez —

— Szalejesz! Wpadasz w nonsens jak ci co chcą być kochani sami dla siebie i kończą na tém, że chcą być kochani kalekami, ubogiem, zgłupiałemi i t. p. przychodzą więc do tego że mają być kochani, gdy nawet sami sobą być przestaną; gdy wszystko co w nich miało urok, stracą.— Namiętność, uniesienie bogate jest w absurda — nie będę więc za tak małą rzeczą cię przesładował.— Ale cóż będzie z Emilii?

— Cóż ma być, powiedz mi? Ożenić się nie mogę.

— Ale ona.

— O! nie frasuj się o nią. Cóż się jej stać może. Tak wykształcona, tak rozumna! Pierwszy po mnie wielbiciel, jak tylko odpowie pewnym warunkom, z góry nałożonym na spodziewanego męża, będzie kochany, przyjęty — i szczęśliwy.

— Tak sądzisz? —

— Jestem pewien tego—i—tem lepiej.

— Tem lepiej. Emilia kochała cię po staropolsku, spokojnie, uczciwie i z uczuciem obowiązków swoich: ty chcesz jakiejś nieograniczonej miłości. Taka miłość, naprzód bytuje tylko w książce — jeśli się zaś ukazuje na świecie, to wyjątkowo, chwilowo—trwać ona niemoże, bo jak ją pogodzić z siwym włosem i ostygnięciem?

— Doskonale godzi się ze śmiercią.

— Najlepiej — ale nie każdy gotów za kroplę ambrozji płacić życiem.

— Jam gotów.

— Nic nie mam do powiedzenia — co bym miał, to napróżno. Rób co chcesz, ale pozwól się spytać — co myślisz robić?

— Jadę szukać miłości.

— To przynajmniej oryginalne! Dla czegożby nie czekać jej na miejsu?

— Wierzę we wpływy klimatu, jadę do młodszego kraju — tu zimno. —

— Każ zapalić na kominku.—Tak się skończyła dziwna dwóch przyjaciół rozmowa; — oba potem zamilkli. Adam chodził po pokoju ze spuszczoną głową, Jan szepejąc niezrozumiałe włoskie wyrazy, pewnie jakąś pieśń Danta, lub strofę Tassa — to oparty na oknie marzył, to rzucał się w krzesło i nieruchomy zdawał się wyzuwać z ciała, a lecił kędyś duszą daleko. Dokąd? pewnie w kraje młodości, w kraje miłości, namiętności, poezji. — Adam już mu nie stawał na drodze. Dopiero późno w noc, gdy konie zaprzężone parskały już na dziedzińcu, odezwał się biorąc kapelusze.

— Cóż powiem rodzicom Emilii? co jej samęj?

— Powiedz—co chcesz! co myślisz że mnie najlepiej uniewinni. Ta kobieta ma oczy z płomienia, a serce z lodu, jej wejrzenie jest ciągłym kłamstwem. Obiecuje czego nie jest w stanie dotrzymać. Uszczę-

śliwi jakiego zanego obywatela i sąsiada, jakiego marszałka lub marszałkowicza—ale dla mnie—

— Cóż się przecie stało?

— Cóż?! — W niej niema i nie będzie miłości. Daj mi pokój! Srodze mnie boli zawód.

— Cóż poczniesz?

— Jadę do Włoch. Adam z politowaniem złożył ręce na krzyż i pokiwał głową.

— Tak przyzwoita, tak dobrze wychowana panienska, trzykroć posagu, kolligacye śliczne, piękna jak anioł.

— I zimna jak malowany aniołek.

— Dobranoc.—Dobranoc i bądź zdrów. Jeśli się nie zobaczymy więcej, westchnij za duszę Jana.

— To westchnienie, o które mnie prosisz, powinno by cię samego naprowadzić na drogę lepszą. Masz ty wiarę? —

— Jestem człowiek, jestem młody, jestem szalony, o więcej nie pytaj— Bądź zdrów, a może na zawsze.

III.

Kiedy na widokregu Kampanii Rzymskiej ujrzy podróżny w siniejącej dali, jak wzgórze sine, wystając nad poziom kopułę Watykanu, kiedy lekki powiew zaleci go z miasta-stolicy, z miasta dwakroć stolicy: z dziedziny tyłu pamiętek, tyła sławy i wielkości; kiedy poczuje po serca biciu, po łąz mglącym się spojrzeniu, po niepokoju roskosznym, że przed nim stoi starodawna Roma, kiedy czarodziejski ten wyraz z ust współtowarzyszów z uczuciem wymawiany posłyszysz, jak gdy majtkowie Kolomba, wołali Z i e m i a, po długiem za marzoną ziemią stęsknieniu; — naówczas mimowolnie skłania się siwa i młoda głowa, porusza się pierś zmarzła wiekiem i gorąca młodością, a obie z niewymownym wzruszeniem, powtarzają milczeniem to wielkie imię ROMA! i przychodzi na myśl tajemnicza anagramma grodu bez nazwiska, co światem władał jak nim władą AMOR.

I mimowolnie zatrzyma się każdy, zadrży, niespokojny, jakby się lękał aby zbliżywszy do stolicy Europy, do tych ruin uświęconych uwielbieniem kilkunasto wiekowem, nie stracił marzeń o niej, nie zawiódł. Utrata każdej nadziei bolesna, a im na wyższym szczyble duchowości, nadzieja tem srożej wytepie wszystkie niżej leżące, tém więcej ciągnie za swoim upadkiem. I Jan, chociaż w Rzymie nie szukał pamiętek, chociaż nie pielgrzymował do świętości pogaństwa, ani do świętości chrześciańskich, pocuł ten strach jaki ogarnia człowieka, gdy się zleknie aby mu pięknie strojnych nie wydarło marzeń. I przycisnął ręką serce, jakby mu mówił: — Nie bij tak szybko. — I zatrzymał się jakby chciał dłużej się nasycać widokiem idealnym jeszcze Romy, co przy blaskach zachodu, ciemno, sino wycinała się długiem pasmem na niebiosach czerwonych. I powtórzył tę pieśń Child-Harolda, którą genjusz znużenia, witał mary przeszłości, widma zmarłego świata, na ich wielkim grobowcu. Potem pomyślał o Romie i o sobie— Roma to grób— a on biegł w niej szukać życia — Roma to wielkie ognisko, w którym jednostków tysiące, miliony, spaliły się i zniszczały—wielkie ognisko, w obliczu którego nie godzi się być samolubem: on szedł do niej dla siebie. I nie pędził go żadne święte, wielkie uczucie, tylko samolubna żądza. Jan zarumienił się w duszy swojej i zawstydził przed sobą. I była chwila, w której myślał że powróci nazad, tak wstyd mu srodze było że biedną namiętnością swoją szedł kalać grobowiec olbrzyma, i świątynię na nim stojącą.

Zbawienną byłaby dla niego ta chwila, gdyby dłużej trwać mogła. Ale cóż wytrwa przy zapalanej żądzy, która w przesycie, zagasnąć jeszcze nie mogła? Ona wszystko pali i popieli, obraca w żuźle i puszcza na wiatry. A tłum co towarzyszył Janowi w wyprawie, stał z nim razem, z oczyma obróconemi na Rzym, milczący, z sercem wzruszonym, lecz wcale różnemi myślami. Świat to wieczna gra sprzeczności i urągawisko wzajemne rzeczy, uczuć, czynów. — Poezya urąga się prozie, proza poezji, bogactwo nędzy, genjusz głupstwa, władza niemocy, zdrowie chorobie, uniesienie rachubie, przypadek projektom — ludzie ludziom, natura synom swoim.

I w tej chwili, niewielka podróżnych gromadka mimowolnie urągała się sobie, w tysiąc rozbita sprzeczności. Obok Jana stał Anglik, długi, suchy, blade, flegmatyczny (jak wszyscy Anglicy w książkach), rozmyślający o marmurach i medalach, po które się zapędził do Rzymu. — Patrząc na Kampanią zdawał się pod jej martwą powierzchnią upatrywać ukrytych skarbów i zapuszczał rydel wyobraźni w tajniki starych mogił i villi. — Obok Anglika, biedny pielgrzym w sukni pątnika, z laską i tykwą u laski, z siwą odkrytą głową — poglądał łzawemi oczyma na kopułę Watykanu, na kościołów krzyże, jak na znaki zburzenia i odpuszczenia grzechów. On szedł po rozgłoszenie i wzdrygał się patrząc na ręce, które po latach kilkunastu, jeszcze krwią powalane były dla duszy jego oka. On się modlił, a modlitwa jego urągała flegmatycznemu rozbirowi Anglika i ognistym fanatyzmowi Jana. — Obok pielgrzyma, siedł malarz z długim włosiem, rozdarł album swój i żywo nakreślił na białej karcie ten niezrównanej prostoty i olbrzymiej wielkości obraz, który jest kilku liniami dla oka, a kilku wieków pamiętką i niezmiernym horyzontem dla serca. Ten zapal pogański artysty, co się nie umiał przeżegnać przed S. Piotra stolicą, urągał pobożnym łzom pielgrzyma. — Obok malarza klęczała kobieta i płakała. Ona nie witała Rzymu, ona nie witała grobowiska świata, ona witała mogiłę dziecięcia, które tu przed laty pogrzebała. Dla niej Roma, zbiegła się u kości dzieciątka, leżących w katakumbie S. Maryi Snieżnej. Bolesć tej kobiety, co w kościotrupie Rzymu nie widziała nic nad drobne kostki dziecka swojego, urągała uczuciom wszystkich. — Anglik odwrócił się ku matce biednej z flegmą, skierował na nią szkło i splunął poważnie. Obok kobiety, stał z długim włosiem czarnym, w wytartem odzieniu, z rękoma w kieszeniach, zamysłony głęboko człowiek, który po garść przeszłości zawędrował do grodu Cezarów. Ten człowiek pracował nad wywołaniem cienia Romy, nad daniem mu nowego żywota i obleczeniem go w opadłe suknie, które zbierały rozsypane po drogach, rozwiane wiatrami po gór wierzchołkach. On szedł w Colosseum, u słupów Cesarskich, na zgłiszczu Kapitolu, odgrzebywać myśli do dziejów swoich, szukać uronionej idei przeszłości Latynów, Etrusków, Osków i wyrosłych z nich Rzymian. I stał i myślał — czy ich znajdzie? — A serce mu biło, bo się lękał, azali ujrzy Romę, jaką ją widział z daleka, jaką ją pojmował dawniej, lub inną? — A jego zaprzątnienie niespokojne urągało boleściom współ, towarzyszy i ich zaprzątzeniu żadnego z niem niemającemu związku. Obok uczonego był poeta. — On zmartwiał, widokiem tego grobu szedł odżywić duszę, chciał z siebie dobyć łyż, chciał wyrobić uczucie, pragnął wzruszenia, a w tej chwili strach go porwał, czy lodem w piersi nie ścisnie się serce, gdy stanie

w Rzymie i obejrzy się i ujrzy odrapaną gospodę Europy w poważnym grodzie Cezarów. Strach jego nie był strachem innych, boleść jego nieczyją nie była boleścią, bo świat, mówię wam, to wieczna urągawisko sprzeczności, to wieczna walka uczuć, myśli i czynów! Potem wszyscy ruszyli ku Rzymowi, każdy z myślą swoją, z zaprzątzeniem serdecznym, a turysta francuz, zbieracz wrażeń podróży, na kieszonkowej książeczce ponotował sobie fizyonomje ich, budując na każdej rozdział wędrowki i licząc z góry zapłatę dziennikarzy, honoraria księgarskie, potem trochę sławy, jaką miał otrzymać w dodatku. Sława obchodziła go niewiele — a o myśl i cel się nie frasował. — Cieszył się że kobieta płakała, że Anglik mruzczał, że niemiecki professor potykał się o kamienie drożne, że malarz gubił karty albumu swojego. — Mnożyły się tym sposobem rozdziały powieści — podróży. A Rzym rósł, potężniał i z powiewem wiatru, dochodziły dźwięki od niego do ucha podróżnych. — Każdy inaczej je słyszał, inaczej czuł, każdemu przypominały co innego, w inną strunę duszy grały. I jedni płakali, zżymali się drudzy, śmieli inni, a każdy spoglądając na sąsiada ruszał ramiony, bo go miał za dziwaka, bo nie umiał wytłumaczyć sobie, co w innym wzbudzać mogło takie myśli, uczucia? — A Rzym modlił się; bo to była chwila, kiedy z kolei z wszystkich wież kościelnych, z wszystkich dzwonnice klasztorów, dzwony się odzywają na Anioł pański,

IV.

Dla podróżnego co z dalekich stron, do nieznanego sobie przybywa świata, pierwsze chwile pobytu są ciężkie. Nuży go nowość, męczy uwielbienie piękności nawet, dusza jego kołysze się jak woda w naczyniu, szukając jakby spocząć; stara się wcielić w nową stronę, przyswoić sobie co go otacza, wrosnąć jedną częścią duszy w ziemię, jak roślina która żeby pożywe ciągnęła soki, przyczepić się wprzód musi, bodaj cienkim więzien do łona matki natury. Z początku gorączkowy niepokój miota człowiekiem, poznaje czego nie znał, oswaja oczy z nowym, wyczerpuje uwielbienie dla pięknego i stara się aby począć żyć, uspokoić wprzód moralnem znaturalizowaniem, uobywateleniem. Ale to nie wszystko jeszcze, to dzieła połowa. Już wrosnął do nowej ziemi, a jeszcze starą ziemią swą młodości, ziemią rodzinną nie zapomniał. Bo zapomnieć jej niepodobna. Między ziemią a człowiekiem jest tajemniczy, magnetyczny związek. O tysiące mil drgają fibry serca, które wyuczyło się bić tam daleko, które się wyżywiło tantem powietrzem, wodą, chlebem i żywotem swego ludu. Samo ciało, jak magnetyczna igła, obraca się, drga ku rodzinnej ziemi, ku mogiłom pradziadow, ku macierzyńskiemu grobowi. Cóż dopiero dusza, to nieśmiertelne kwiecie, leżące w kielichu ciała dziecięcym, kołysane wszystkim co porusza jego spowicie; co dopiero dusza, biedna wygnanka zawsze za czéms tęsknić zmuszona, i tęskniąca tém żywić, że dla niej szczęścia niema nigdzie. Nie jeden uciekając z domu, leciał z radością i mówił: — Lekko mi, dobrze, słodko tam będzie, bo o wszystkim zapomnę, bo sobie nową stworzę rodzinę i oderwę się od wszystkiego co stare, co mi cięży, co cierpienie na barki mi włożyło. Ale nie tak się stało! Zaledwie odbiegł radosną nadzieją niesiony — już cię go coś nieopisanego nazad ciągnie. — Odwraca się mimowolnie, mimowolnie tęskni. Kraj go ku sobie ciągnie, on wyciąga ręce i serce do ojczyzny. I płacz, i żal

mu nawet boleści starych—a oczy nieprzytomne patrzą na piękności natury nowej, cudownej, zachwycającej—a przed duszą suną się mgliste obrazy drugie, potężniej nań działające.—To obrazy kraju, który porzucił, to domki w zielonych czarny wieńcu, to łąki przecięte rzeczkami, to gęste czarne na rozdźwiękach krzyże, to białe kościołki, to gniazda bocianie, stare grusze, żurawie studzien skrzypiące—i ktoś tam w ganku siedzący, tęskny i patrzący ku południu! — Napróżno chce się odurzyć podróżny, jedna jego połowa tu, druga tam. I z każdą chwilą rośnie niepokój, tęsknota, ból, i w miarę odległości zda się wyciąga boleśniejsi coraz jakas nie sercowa, grożąc zerwaniem. — Potem—potem choroba za krajem albo się przesila, albo zabija, a jeżeli serce gwałtownie bić ustanie, oczy obracać się tęskno — niemniej powiedzić nie można żeś zapomniał przeszłości i ojczyzny. — Czasem zapach kwiatu znanego, dźwięk dzwonu, głos coś przypominający, na nowo serce rozedrze, powieki zakrwawi, czasem wstaniesz z łoża z bijącą pierśią, bo w marzeniu sennem dusza uleciała ptakiem na mogiły stare, a gdyś się obudził, toś ją oderwał z daleka, i czujesz się jakby w pół tam jeszcze, w pół tylko tutaj. — Bo tajemny, magnetyczny ten związek z krajem wykarmionego nim człowieka trwa do śmierci i jest nierozzerwany, a kto nie zna tęsknoty, kto nie poczuł boleści za rodziną bodaj smętną, temu rzucić kamień, bo wart ukamienowania, bo gorszy jest zwierzęcia, co wyje obróciwszy się ku domowi;—to nie człowiek.

Mamże wam mówić jak Jan tęsknił? Na co? jużście to pojąć powinni.—Tęsknił nawet za niebieskiemi oczyma Emilii i myślał: Płaczeli ona? — Lecz przedko zachwyty poetyczny obwijał mu szata złością te myśli sino czarne, szare, ciężkie.—Tylko we snach wracał do domu. — A we dnie żył Rzymem. — Spowszedniał Rzym dla nas, tylu go śpiewało nieudolnie, tylu czarująco opiało, opisało, wymalowało, że Rzym już nie ma tajemnic—dla oka—; ale są tajemnice dla duszy w nim, bo wrażeń nie nauczył książka, bo uczuć nie da ci najlepszy obraz. Książce braknie obrazu, obrazowi książki, a książki z obrazkami nie są ani dobrymi książkami, ani znośnymi obrazami, we wszystkim nie dostaje ci dźwięków, powietrza, ruchu. Oboje są momentami bytu, ale nie bytem. Nie zna kto nie był, kto wszystkiemi zmysły nie wziął w siebie obrazu, nie dotknął go, kto nie żył wśród niego. Jan się dziwił, mnóstwo rzeczy nowych spotykając tam, gdzie się ich najmniej spodziewał.—Począwszy od bazyliki świętego Piotra, do katakomb milczących, tej kolebki chrześcijaństwa; w której ciemnościach wykolysało się dziecię — zwycięzca Rzymu starego;— wszystko znane tyle Janowi z opisu, pokazało się nowem i zachwycającem.—I była chwila, gdy targany w jedną stronę ku ojczyźnie, w drugą ku przeszłości Romy, zapomniał swojego samolubnego celu podróży. Uczuł się tak małym, drobnym, tak niczem, że wstyd mu było myśleć o sobie. Deptał kości bohaterów, kości świętych, pamiątki dwojakiego świata, nie mógł stanąć krokiem, by nie wzbudzić jakiego widma, co przeciw niemu wyrwało się z grobu i zapierało drogę sobą.—A serce tymczasem biło wezbraną żądzą gwałtowniej coraz. — W Bazylice ś. Piotra, tym ogromie murów zlepionych jedną wielką myślą, uwieńczonych rzuconem na wierzch sklepieniem ręką geniuszu—Jan czuł się jednostką tak znikomą—kiedy pomyślał nad tymi co tu żyli, zmarli, co gmach wzniesli, co doń pielgrzymowali, upokarzał

się mimowolnie. Dzieła geniuszu gniotły go także do ziemi.—Myśli wyryte wszędzie, myśli wielkie i wieczystej prawdy, uciskały go. Sam olbrzym świątynia, upokarzała człowieka wynosząc ludzi. Bo człowiek, to ziarno piasku w tej gorze potężnej, która się ludzkością zowie.—Cóż dopiero Katakomby? Tam wspomnienie ofiar, męczeństwa, dobrowolnego zaparcia świata, powietrza, braci, przejmowało go ciężką, zalewało wstydem.—Godziż się żyć dla namiętności tylko w obec takich przykładów? Namiętność, to ja; a wielka myśl, której człowiek sprężyną, narzędziem, to dobro ludzkości, to dzieło zbiorowej potęgi. — Namiętność jakże drobna w obec myśli dla dobra ogółu poświęcającej wszystko, wcieleniu siebie w żywot, w czyn. — Tak z całym Rzymem — gdzie stąpił Jan, wszędzie drobniał, wszędzie zmuszony był wyrzekać się siebie.—Ale to w pierwszych chwilach tylko, ogień wybuchnął wkrótce na nowo.—Jan puścił się obiegać miasto, już nie jak ciekawy turysta, ale jako namiętny ów młodzian, co z domu biegł gnany nadzieją, szuka serca namiętnego w Italii. — Dla czegoż najczęściej szuka się i goni napróżno?—Na placach, przy fontannach, w ulicach i kraciastych oknach; — spotykał on twarze kobiece młode i stare, spotykał oczy czarne, ogniste, namiętne rysy, ale nigdzie swojego marzonego ideału. Wszystko co widział dotąd, nie potrafiło go rozegrać, zająć, pochwylić gwałtownie jak pragnął.—Szukał jednak.—Wedle myśli Jana, kochanka jego przyszła, nie w klasie wyższej, nie w rodzinie możnych znajdować się musiała; ale u ludu. Lud, mówił Jan, lud jeden zachował uczucia namiętne, prawdziwe, szczerze i nieboi się ich okazywać. Wyżej jest tylko przywiązanie do dobrego bytu, próżności pełna tęsknota za jakimś wzniesieniem nad poziom, i obojętność na wszystko. W dziecku już wyrabiają ostygłość, zabijają śmiechem i szyderstwem uczucia, uczą pychy, uczą sarkazmu co zabija wszelkie szlachetne poświęcenie, i przywiązania do tego tylko, co realne, co ciału zapewnia jutro, co wyzwala od pracy.—U ludu więc uczucie, i w tém się Jan nie mylił; ale aby podrosły uczucia, potrzeba wprzód wiele a wiele więcej i innych warunków.—Całe wieczory trawił Jan u drzwi swojego mieszkania, niedaleko fontanny, do której Rzymianki szczebiocąc i oglądając się, śmiejąc i swawoląc, biegały po wodę.—Ale napróżno liczył oczyma wszystkie, żadna nie zrobiła na nim tego wrażenia, którego oczekiwał jako oznajmienia wielkiej namiętności. Niektóre szczydziły z niemca (bo go tak nazywały), inne uśmiechały się, czarne błyszczące oczy zawracając nań z pod zasłony, inne niby niebaczące, niby obojętne przechodziły mimo, powoli, nucąc piosenkę i ukazując utoczone ręce, drobne nóżki, pierś ledwie wytryskująca — a potem oglądały się jakby od niechcenia — ale on był zimny i na wejście nie odpowiedział wejrzeniem, na zaczepkę zaczepką. — Tak dnie po dniach mijały, po tygodniach tygodnie—i nic nie przychodziło—nie. Jana gryzła już tęsknota za krajem, poczynił sztydzić sam z siebie, że się jak rycerz z Manszy wybrał w podróż za urojeniem.—Czemuż nie wracał?—Spodziewał się jeszcze. A każda na próżno upływająca chwila zdawała mu się zbliżać go do szczęścia; bo nie wierzył, nie przypuszczał aby go ominąć miało. I palił się myślami i snuł złote i czarne marzenia, miłość, przeszkody, dramat cały—i śmierć na rozwiązanie.—Ale proza go sucha otaczała, brudna proza uliczna, której nawet jak powszechnemu prawu poetyczny Rzym ulega. — Wszak pustynie Sahary, potrafili spowszednić re-

stauratory i przedsiębiorcy Anglicy i Francuzi—wszaku podnóżka piramid Egiptu, sprzedają wino szampańskie.

V.

Jednej nadziei do życia za mało, zwłaszcza gdy prócz niej, nic nie zajmuje, nie nęci człowieka. Jan to uczul—życie mu ciężać zaczynało. I klimat Rzymu przywalił go, ucisnął. — Jakis nieopisany wstręt do ruchu, do pracy, pragnienie spokoju, trzymało go w bezczynności gnuśnej, w pół senniej. Tymczasem wszyscy bogaci uciekali ze stolicy — Papież wyniósł się z Watykanu na Monte Cavallo, magnaci, bankierzy, cudzoziemcy rozjechali po willach, rozsypali nad brzegami morza, poszli szukać chłodu w zakątkach Italii. Nawet artyści młodzi, po większej części zbiegli na przedmieścia i wille, bo modele ich, barczyste Antynousy i Herkule, wdzięczne dziewczęta z czarnymi oczyma nie chciały służyć za wzory, wołały spoczywać, na gitarze brząkać, a gdy noc przyszła na wschodkach domostwa zasiadać lub po pustych placach Rzymu nieskończone odbywać przechadzki, pod cudowną osłoną przezroczyстых niebios, pod skrzydłem wiatru chłodnego. — I pusto było w Rzymie. — Słońce samo w nim mieszkalo—i ubodzy. Po placach nie widać powozów ni liberyj kardynalskich, nie słycać tunkotu karet poselskich i bankierskich; po ruinach nie spotkasz tego ludu artystów, co z duszą rozplomioną i olówkiem, chwytą na papier Rzym ze wszystkich stron jego, od strony przeszłości, od teraźniejszości, od poezyi i prozy. — Cicho, głucho—kilka krów i kóz pasie się na Campo Vaccino, gitary brzęczą jakby je wiatr poruszał, brzmi piosnka ale półgłosem, nawet Pulcinello uznał że gorąco i spać się położył. — Sklepiki rzemieślników i antykwaryuszów w pół tylko — jakby senne, jedno otworzyło oko; a stare figurynki brązowe zielonawej barwy drzemią na półkach zapyłone, czekając na Anglików. Cicerone nie łapia po ulicach nikogo, odpoczywają także i chłodzą się opowiadając przeszłoroczne wyprawy. W garkuchniach ledwie znajdziesz maccaroni pływające w oliwie, i nie ma go komu podać, a chcącemu zjesć dziwią się jak osobliwemu zjawisku. W tej porze bowiem Włosi żyją wodą, owocami i snem; i nie pojmują jak drudzy jeść mogą. — Pomimo opustoszenia, Rzym w tej porze według mnie największe może na podróżnym czyni wrażenie. Nie nie wadzi widokowi jego poważnych ruin, nie nie rozrywa uwagi—ten wiatr spiekły, przechadzający się po stolicy, to głuche milczenie, są nowym wdziękiem dla Romy,—Karnawał ze swemi confetti, ze swym szaleństwem, z wozami, z wrzawą, przykre czyni tu wrażenie, jakby stypa u łoża konającego, stypa szalonych. Nawet Bazylika św. Piotra bez Anglików co by w niej śniadali, rozpierali się i gospodarzyli, daleko uroczystsza. Nawet milczenie ulic zmarłemu grodowi do twarzy.—Jan spoczywał—czasem tylko gdy spoczynek go znużył, brał ołówek do ręki, papier i szedł rysować. Przypomniął sobie że w duszy był artystą, w Rzymie to przypomnieć najłatwiej, a ktoby nim nie był, zostać. Ale nie ruiny przenosił na papier, żywe życie raczej, ile go mógł w tej obumarłej porze złapać.—Książkę białą zapelniał twarze kobietec, twarze ogorzale dziewcząt Rzymianek, dojrzałych pań i niedorosłych w pół dzieci, co już przeczcuciem namiętnego życia uśmiechały się na świat. — A obok nich na straży stawali czarnowłose mężowie i bracia w swych malowniczych ubiorach, z groźnemi, to śmie-

sznie pokornemi rysy.—Jednego z tych cudnych wieczorów, w których Rzym wychodzi ze skorupy, aby pociągnąć powietrza i nasycić się nocą włoską, kiedy ze wszystkich okien i ganków brzmią gitary, słycać śpiewy, śmieszki i rozmowy, kiedy u fontann dziewczęta z dzbankami długo kołem stoją poopierane, o marmurowe brzegi; jednego z takich wieczorów, Jan wyszedł zamysłony w miasto.— Po drodze, sąsiedzi domu w którym stał wskazywali go sobie palcami.

— Tedesco! Niemiec—mówiły dziewczęta — malarz, ale podobno chory czy szalony, bo chodzi ponury.—Pepita stręczyła mu się na wzór do Bachantki, nie chciał przyjąć, nawet nie spojrzal. A Pepita ma piersi Bachantki, usta Bachantki, kiedy się przepasze bluszczem i na wznak położy z tysem w dłoni, rzekłbys, że marmur ożył.

— Cóż robi?

— Nic nie robi.

— Czy ma kochankę?

— O! nie ma, Pepita szpiegowała go, zawsze sam jeden, tylko się czasem włóczy po nocy.

U otwartego w półsklepiku Bartola Milanese, który się zabawiał sprzedając figurek brązowych, medalów fabrykowanych i połamanych marmurów, ozwał się śmiech szyderski. — Wszystkie kobiety obróciły się ku niemu. Sam to bowiem Milanese siedział sparty o krawędź drzwi swoich i wysłuchawszy rozmowy, śmiechem na nią odpowiedział.

— Co ci Milanese?—spytała młoda kobieta z dziecięciami. — *Per Baccho!* śmieję się z waszych domysłów!—odparł brzęczącym głosem chudy, połamany staruszek. — To nie jest artysta. — Przepraszam — przerwała młoda dziewczyna—widziałam go rysującego.—Co? kogo?—zapytał Milanese.—*Per Dio*, wiem co, ale na cóżbym ci się miała spowiadać, Milanese, wysłuchaj lepiej spowiedzi swojej żony i córki. — O! szatanka!—brzęknął stary — a cóż w tem za tajemnica? — Widziałem go rysującego —

— Toć i ja go widziałem

— A mówisz że nie artysta?

— Nie. Uważałem go w pierwszych dniach przybycia. Artystę wówczas poznać można, wy wiecie, lata jak szalony, nie je i nie śpi, boi się żeby mu Rzym nie uciekł.

— A on? — Patrzal tylko na kobiety.

Kobiety spojrzaly po sobie, a potem za oddalającym się Janem, którego czarny płaszcz jeszcze niagał na ścianach pałaców białych.

— I dla tego dodał Milanese, zamknąłem żonę, żeby nie patrzała w tę stronę ku jego oknu, a córce kupiłem brązowe kolce.

Gdy tu się toczy rozmowa, Jan zamysłony zapuszcza się w głąb miasta. — Czem dla Europy Włochy, we Włoszech mieszkańcy Rzymu, dumni ze swego pochodzenia od ludu wypieszczonego przez Cezarów, i karmionego, bawionego przez świat cały — tém w Rzymie są Transteveranie, mieszkające drugiego brzegu Tybru.—Jest to jakby oddzielny, w pół dziki naród, dziwnie namiętny, ognisty, równie łatwy do boju, zwady i krwi rozlewu, jak reszta teraźniejszych Rzymian do korzystania z dobroduszości podróżnych, do oszukaństwa wszelkiego rodzaju. Rzekłbys spojrzawszy na twarze dzikie, na brwi czarne, oczy ogniste, czola poorane, i sztylety zawsze rdzą krwawą okryte, że to osobny naród, jakies potomki barbarzyńców, co Romę jak robaki stoczyły; — tak niepodobni do reszty Rzymian podłych, unizonych i szalbierzy. Transteveranów boją się nawet ich współ-

ziomkowie, albowiem niema dnia bezkrwawego na drugim brzegu Tybru, niema kłótni bez rozlewu krwi, i policya papieżka lęka się zbyt daleko zapuszczać za płowy Tybr. Przypadkiem to czy umyślnie do Transteveranów Jan zabłądził, niewiem. Ale tu inny pozor miało miasto. Uliczka którą szedł nie rozlegała się śmiechy i żarcikami Pulcinellowemi, głucho przybrzmiewały gitary, prawie nie widno było kobiet, mężczyźni z chmurnem wejrzeniem siedzieli na progach domostw—gdzie niegdzie na rogu płonąła drżąca lampa przed kamienną we wstążki, paciorki, ex vota i kwiaty strojną Madonną.—W oddaleniu podniesiony głos skłóconych, brzmiał czasami gwałtowny, to sflumiony, wyrzywał krzykiem i uci-chał; to płacz kobiecej przeleciał, to kwilenie dziecka, to śmiech ściskający serce. A wszyscy Transteveranie, jakby gotowali się do boju, stali zbrojni, z rycerską postawą, marszem na czole. Gdy Jan przechodził, powiedli zanim oczyma, bo mimo stroju miejscowego, poznali w nim obcego po jasnych włosach, po chodzie, po sposobie noszenia sukni, po czemś nieschwycionem co zdradza. On na to nie zważał. Z za okien i okienek, nie jedna głowa kobieca wyjrzała i długo za nim wzrokiem powiodła. Dwóch czy trzech ludzi, coś szeptać między sobą poczęli poglądając na obcego, zdawali się zgadywać czy pod płaszczem był zbrojny, poprawili noże za pasem. On szedł dalej. Nad Tybru brzegiem stał stary dom pochylony nieco i dziką winną okryty macicą. Od dołu ciężkie arkady, pogruchotane trzęsieniem ziemi, zsiadły się dziwacznie, rzekłbys że popadają—Niektóre z nich zabite były i gruzem zarzucone, u innych drobne świeciły okienka w świeżym wybite murze. Wyżej kilka nieregularnych otworów wychodziły na Tybr i z drugiej strony w uliczkę.— Jeszcze wyżej w trójgraniastej facyacie wygiętej, jak gdyby upaść miała, długie czerniało okienko. Cały przód domu okrywała dzika latorośl winna, przez której ciemne gałęzie, poodzierany mur i białe reszty tynku wyglądały. W oknie pierwszego piętra siedziała kobieta. Księżyc wprost na twarz jej świecił. O! piękna była i nie darmo Jan zadrżał i zatrzymał się przeciw niej.

Było to szesnastoletnie może dziewczę. Dwoje ogromnych czarnych oczu, przyćmionych długimi rzęsy, co na białym aż kładły się spać policzku, świeciły niewiem lżą czy wewnętrznym ogniem. Czarny kruczy włos skłniony, niedbale spuszczone opasywał owal jej twarzy, jak winna macica stroiła jej domek. Nos zda się pożyczyla u greckiego posągu, tak marmurowe miał kształty, tak czyste wycięcia, a otwarte jak u arabskiego konia nozdrza różowo przeświecały.—Rumiane usta choć wąskie, były wydatne, malarz by może szczuplejszych zażądał, snycerz drobniejsze wargi wykształtował, ale kochanek o innych niemógł pomysleć. Wpół otwarte ukazywały białe ząbki—perelki. Szyja przy hebanowych włosach, świeciła jasno, choć miała tę barwę bistrową, ludowi włoskiemu właściwą, jakby rozgrzaną słońcem. Dwoje, zaledwie urodzonych, jeszcze nie wykształconych piersi wzdymały białą sukienkę. Ubrana była jak włoszka, ciężkie korale przecinały białą jej szyję krwawą swą wstęgą: kwiatek we włosach, ogromne kolce brązowe u uszu.— Gałęzią jaśminu bawiła się.— Lecz któż opisze urok tej twarzy świecącej oczyma, świecącej ząbkami, oprawniej w ramy okienka, po nad którym zwiesza się winna latorośl kapryśnymi sploty? Na to trzeba by pęzła Leopolda Roberta, najwierniejszego Włoch tłumacza. Jan stanął, podniósł oczy na nią.

Ona nie umknęła, nie spuściła gorącego wejrzenia z wpatrującego się mężczyzny. Z dziecinną prawie ciekawością i pół-śmiechem przyglądała się nieznanemu. Trwało to chwilę—jedną chwilę, gdy ostry głos z dolnego piętra, ozwał się chropawo:

— Idźcie w swą drogę, panie młody! Dobrzej nocy w swoją drogę!—Na dźwięk tego głosu, dziewczę wychyliło się przez pół z okna, i ukazało drobną kibić, cobys mógł objąć ją w rękę—a po chwili rozsiała się srebrzystym głosem, białe pokazując ząbki.—

— Paolo! Paolo!—zawołała—jaka cię tam mucha ukąsiła?

— Jeszcze nie ukąsiła, ale mi pod nosem brzęczy—rzekł głos z niższego okna— a wara żebym na nią ręki nie podniósł. Dziewczyna rozśmiała się znowu i przytknąwszy do ust gałązkę jaśminu, niby niechęcąc wyrzuciła ją w ulicę, pod nogi Janowi. Jan schylił się, porwał ją i podziękowawszy ręki skinieniem szybko się oddalał. Dzikie przekleństwo zabrzmiało na dole, wesoly śmiech w górnem okienku; drzwi otwarły i barczysty mężczyzna, w koszuli, głowa chustką jedwabną związana, axamitne spodnie, pałka w rękę na przedce schwycona—wybiegł na próg. Czarne oczy pod nawisłą brwią mu latały, usta się trzęsły, mu żyłasta ręka potrafiła kijem. Wyjrzał ku oddalającej się Janowi i zawołał:

W — Dobrzej nocy! nie powracajcie tędy, mogłoby am co niemilego się przytrafić.

Jan rozgniewany wstrzymał się i zwrócił.

— Czego chcesz? — spytał.

— Dobrzej nocy! — szydersko powtórzył Paolo.—Za Tybrem nie zdrowe powietrze, wracajcie do domu.

— Ulica wolna każdemu.

— Ulica, ale nie okna — odparł Transteveranin.

— I okna!

— O! przeklęty heretyk, smie sprzeczać się ze mną. Dziewczyna wychyliła się znowu i ręką białą wskazała Janowi, aby uszedł.— Odwróciwszy się raz jeszcze, Jan usłuchał, ale wejrzeniem długim podziękował dziewczynce — i do ust przyłożył gałązkę jaśminową. Tymczasem Paolo nieruchomy w progu stał i łajał. Przekonawszy się, że nieznamy co mu pokój zakłócił odszedł, Paolo postawił kij, spartł się o mur i począł robić wyrzuty dziewczynie.

— A! łotrzyca,—wołał grożąc jej palcem.—Patr, jak poczyna! Na tom ja ciebie chował Pepita? na to?

— A na cóż Paolo?

— Pewnie nie dla pierwszego włóczęgi, co pod oknami przechadzać się będzie i wpatrywać w dziewczęta.

— A dla kogoż Paolo? Jużci nie dla siebie?

— Niech mnie Bóg broni! Wszakżeśmy krewni, byłby grzech śmiertelny. Wołałbym zabić Luchina, niż pokochać Pepitę?

— O! masz słuszność. Co to za szczęście żeśmy krewni!

— Złośnica!

— Powiedźże Paolo, dla kogo?

— Tysiąc razy słyszałaś, a jeszcze chcesz żebym ci powtórzył.

— Powtórz że mi raz jeszcze.

— Ty wiesz Pepita, że starzy bogaci dobrze płacą za takie kwiatki jak ty. Znam dwóch, ale o tém mówić nie potrzeba.

— Chowałeś mnie więc na sprzedaż?
 — O! nie, złośliwy lotrzyku. Co to ty nazywasz sprzedaż? Będiesz panią, i biedny Paolo przy tobie zażyje wczasu, bo ty o nim nie zapomnisz.
 — Mogłabym zapomnieć!
 — Prawdziwie?
 — Najprawdziwiej! Nadto pamiętam biedne łąta dzieciństwa i policzki Paola! — Paolo zaciął wargi.
 — To ci się chyba śniło!
 — O! — odpowiedziała dziewczyna wzruszając ramiony. — Ale nie cieszcie się sprzedaż, póki nie weźmiecie pieniędzy.
 — Zamknij okno i idź spać Pepita.
 — Wstydz się Paolo; noc tak piękna! wszyscy się bawią, wszystkim wolno odetchnąć powietrzem, a mnie —
 — Już późno — sucho odrzekł strażnik.
 — Mnie się spać niechce. — Paolo mruzczał coś jeszcze, gdy z przeciwnej strony ulicy, mężczy głośno ozwał się silny, brzącający, groźny.
 — Paolo, ostrożnie! pamiętaj o grzbiecie.
 — A! to Lazar — zawołała wesoło Pepita — chodź, chodź na moją obronę. — Paolo drzwi zamknął i usunął się w głąb domu — dziewczyna się śmiała. Z przeciwnej strony ulicy, pokrytej cieniem rzuconym od domostw, wybiegła postać nowa — młody Lazar, prawdziwy typ Transteveranina, ogorzały, wyrazu twarzy męskiego, strojny w aksamit i błyskotki, zbrojny jakby się w podróż wybierał.
 — Gdzie ten lotr Paolo, żebym mu pogruchotał kości.
 — Poszedł spać! — rzekła Pepita ze śmiechem — słyszałeś co mi powiedział? Wiesz na co mnie chodzi?
 — O! wiem, słyszałem! Znać zaraz że nie nasz, że się z tamtej strony Tybru rodził, wszystkim, nawet dziewczyną chce kupczyć. Ale powoli, powoli —
 — Wiesz dla czego każe mi się spać położyć?
 — Cóżes mu zawiniła?
 — Przechodził tędy nieznanomy, niemiec pewnie, bo ma złociste włosy i niebieskie wejrzenie.
 — Pepita! Pepita! — przerwał Lazar — nieopisuj go tak, w sercu mi krew wre —
 — Malarz jakiś, gołysz, co szuka wzoru i kochanki — dodał z niższego okna Paolo. Pepita zamilkła, oparła się na dłoni, zamilkła.
 — I cóż? — spytał Lazar.
 — Popatrzał na mnie, wszak nie zjadł mnie wzrokiem? — A tyś mu rzuciła kwiatek do ust — dodał Paolo. Lazar brwi namarszczył straszliwie.
 — Prawdaż to, Pepita — ?
 — Prawda! bo mi się podobał. — I mnie to mówisz? — Czemuż tobie bym powiedzieć nie miała? — Ja cię kocham. — Ja cię lubię, ale nie kocham ciebie Lazo, ty wiesz. — Ale musisz mnie kochać. — Pepita potrząsała głową z uśmiechem. Była chwila milczenia, Lazar chmurny usunął się znowu w cień i słyhać było jak odchodził mruząc coś niezrozumiałego. Paolo wyscibił głowę, popatrzał i skrył się na tył. W ulicy głucho znowu milczenie. Zdaleka tylko dźwięki różne dochodziły. Pepita została w oknie. Czarne ję oko biegło w tę stronę, w którą odszedł Jan. Godzina może upłynęła, księżyc się za dachy przeciwnych domostw schował i oświecał już tylko wierzchołek facyaty; Pepita w mroku, białą migającą sukienką, siedziała jeszcze, jakby kogoś oczekiwała. Chłodny powiew wiatru szeleścił liśćmi winnej latorośli, której jeden zablakany splot położył

się na czole dziewczęcia. Ciche stapanie dało się słyszeć od rogu ulicy, gdzie stała Madonna, a lampa blade światelko rzucała na ulicę. W promieniu ję mignął przechodzień. To Jan. Pepita poprawiła włosy. Spojrzeli znowu na siebie i cicho zamienione „Dobranoc” szepnęło jak szelest liści, jak powiew wiatru po dachach. Paolo spać już musiał.

VI.

Jan całą noc przepędził w marzeniach. Przed oczyma jego czarowny obraz Pepity w ramkach kamiennego okna, ozienionych latoroślą winną, błyszczał jak drogi kamień z czarnej wydobyty ziemi. Wyobraźnia jego szlifowała drogi dar losu i przyglądała się jaśniejącym rozetom czarodziejskiego skarbu. Z gałązką jaśminu w rękę siedział w oknie. Bał się zasnąć, aby sen nie przegrodził zapomnieniem, nie okradł mu rysów drogich.

— Gdy jutro wstanę, myślał, czyliż tak żywo znajdę utkwiony ję obraz przed duszą moją? Czyż nie przeleją się po nim marzenia starego, spłowiełego życia i nie naniósą nań mułów, nie skalają mi go?

I w ulicy już dawno wszystko spało, już Milanese sklepik swój przymknął, fontanna tylko nieuspana mruzczała, i czasami krok opóźnionego ozwał się tylko na kamieniach — a Jan nie spał jeszcze. Gdzie mu tam sen, przy takim serca biciu, duszy rozkołysaniu? Już nareszcie myśl, pragnienie, żądza — wzięły na się ciało, oblekły w postać i obiecywały przyszłość, rzeczywistość! Lecz będzież to spodziewane, będzież to serce gorące, miłość olbrzymia, wielki ów pożar pożądany? Z tych oczu czarnych i płomienych, czy patrzy uczucie czy szyderski chłód? Może to tylko wesoła zalotnica, może zimna małpeczka, może... I Jan obawiał się puścić serca za daleko i wstrzymywał się wędzidłem silnej woli. — A tym czasem przed oczyma stała mu Pepita. Pepita w okienku latoroślą winną strojnem, w kraśnych koralach, w złocistych zausznicach, z koralowemi także usty, z słoniowemi ząbkami — i słyszał głos jej szepczący — Dobra noc. — Co mu tam niebezpieczeństwo! Wiedział że się narażał na sztylet czyjś, na zemstę Transteveranina — ale ofiara życia za godzinę miłości czemuż jest? Tak mówił w sobie i miał słusność. Ofiara życia niczem przy roskoszy uczucia nadziemskiej szczęśliwości. Ale ile tu warunków! ile razy serce zastygnie przesyte myślą: — Miłość że to szczerza wieczysta, czy burza chwilowa, czy namiętyście cielesna, czy zwodnicza predaż, czy bezmyślne obłąkanie? I noc schodziła, a wschód się wyjaśniał; rumienił, promienił, złocił, zapalał, gorzał, roztaczał ogromnem morzem jasności, a on oka nie przymknął. Trzymał zawiędlą już gałąź jaśminu i marzył. Roma spała po bezsennej także nocy. Cisza głęboka, uroczysta nad nią, i słońce tylko zdawało się starego pilnować grodu. W dalekich gdzieś klasztorach, dzwonki brzęczały na jurznią — pastuszek zaspany gnał krowy ciężko idące i wachające ziela po ruinach — odarte sługi stare nabierały wodę po fontannach wyciągając ręce. Gdziegdzie odsunęła się okiennica, przemknęły drzwi — gdziegdzie wymknął się ostrożnie po za się oglądający kochanek, za nim główka niewieścia wyjrzała trwożliwe rozpuszczone zgarniając włosy, trac ciężkie od snu powieki i otwierając na pół spalone pocałunkami usta. — Znów cicho, znów głucho, fontanna kroplisto spada powoli, drzwi skrzyknięły, stary rzemieślnik wstał i rożaniec obracając w rękach mruczy pacierz bez myśli. — Jan usnął ze

dniem.—Czarodziejska noc skończyła się, rozczarowany dzień zaświtał i siadł na oczach—usta jego dotykały jeszcze jaśminowej gałązki.—Spał w oknie siedząc, a w pół wychylony na ulicę nie poczuł ranego chłodu, tak mu w sercu było gorąco.

Tymczasem zbudziło się miasto i ruszyło żyć. Co raz gęściej a gęściej szli tedy wiesniacy z willi sąsiednich, braciszkwowie kwestarze, dziewczęta — i stare kobiety w czerni spieszące do kościołów.

Żywo, żywo biegła dziewczynka ulicą, okryta czarną jedwabną wytartą zasłoną, z pod której patrzył owal białej twarzy i dwoje oczu cudnych blaskiem.

To Pepita—sama jedna.

Wesołe w pół-dziecię pogląda po pustych balkonach, po oknach, na rogi ulic, na przechodniów; nagle stanęła — I patrzy, patrzy, a lekko jak różyczka zafarbowała się twarz jej, zadrgały powieki.

— To on — rzekła w duszy — o! to on, to mój znajomy wieczorny. Nawet śpi jeszcze z gałązką moją przy ustach—*Povero! poveretto!*

I na końcu drobnych paluszków zbliżyła się ku otwartemu oknu, wstrzymując oddech, a serce jej biło, biło — aż się mała pierś dziewczica rozkołysała namiętnie wzruszona.—Obejrzała się długo, czy nikt nie patrzy—Nikogo—pusto—nikogo! Nawet Milanese okna jeszcze swego sklepiku nie utworzył. Więc się lekko jak ptaszyna spała na kamienny gzyms domostwa i na czoło blade Jana przyłożyła usta różowe, gorące, młode jeszcze a już tak płomienne!

I nagle ożyło czoło, otwarły się oczy, krzyk dziwny wydobył z piersi. — Spojrzał, poznał ją, wyciągnął ręce—ale śmiejąca Pepita już była daleko—już nikła na zakręcie uliczki żegnając się przed drewnianą Madonną.

Pojmujecie roskosz tego przebudzenia pocałunkiem, to wstrząśnienie serca na widok marzonej kochanki, której czarne oczy zjawiają się nagle nad tobą? Gdyby ją nie ujrzał odbiegającą szybko, Jan by to za sen był wziął uroczy, za marzenie roskoszne. — Wybiegł za nią, ale napróżno — wiatr tylko tak odchodzi jak odleciała dziewczyna. Natomiast Milanese w białej szlafmycy, krótkich spodniach, kolorowych pończochach i ledwie nasuniętych na nogi trzewikach, z wybladłą żółto-pargaminową, długą, pooraną i małemi oczyma tylko połyskującą twarzą—spotkał go oko w oko.

— Buon giorno! Dobrze się wam dzień zaczął,— rzekł szydersko do Jana, odmykając rygle okiennic i ścierając pył z wystawy sklepiku.—Bodaj to całą noc czuwać, żeby się podobnego daru doczekać! A! młodym to tylko rosną takie kwiaty!

Jan już się cofnął, ale na ostatnie słowa Milanese, kilka osób nadeszło. — Młoda kobieta z dziećciem, wzór Madonny wczorajszy, młode dziewczę Annunciata, Charita i Antonio.

— Co tam za kwiaty? Signor Bartolo?—Ba! ba!—mruczał Milanese—kwiaty miłości. — Cha! cha! zaśmiała się Annunciata długo poglądając na Antonia.—Bartolo śnił o miłości w objęciach żony?

— O! nie ja, to nie ja!

— A któż?

— Moj sąsiad, Tedesco-Juan, spał w oknie, musiał całą noc po kraju miłości wędrować, i jeszcze na dzień dobry przyleciał motylek, co go obdarzył pocałunkiem.

— Jaki motylek?

— Dziewczyzna! rozumie się dziewczyna! Ale nie z naszej ulicy. Widziałem ze stroju—Transteveranka.

— Otóż widzicie dla czego—przerwała Annunciata—nie chciał Pepity naszej za wzór Bacchantki, ani naszej Madonny.

— Poszukał sobie za Tybrem synogarlicy — rzekł Milanese.—*E sempre bene*, byleby nie skończyło się krwawo.—Zawsześ bojaźliwy choć Rzymianin — odpowiedziała Annunciata szczerząc ząbki — boisz się sztyletu, boisz złodzieja, boisz żony, boisz córki.

Bartolo potrząsł głową.—Nikogo się nie lękam, ale uniem być ostrożny. To też zachowałem się, mimo srogich niebezpieczeństw, cało na ciele i na honorze.

— Myślisz? parsknęła śmiechem Annunciata, i potrząsała głową i odchodząc zaśpiewała. — *E sempre bene!*—Bartolo Milanese wyjmując posążek Fauna z za desek i oczyszczając go rękawem koszuli, wzgardliwie na nią rzucił wejrzenie.—Wszyscy się rozeszli.

VII.

Na rogu jednej z uliczek Transtevere, jest nisza Madonny. Stary to dom jeszcze, bo w nowych prędzej znajdziesz karjatydy z nagiemi piersi, termy, maski i maskarony, niż miejsce dla posągu świętego, dla ołtarzyka, coby w każdej chwili przychodniom rzucał myśl pobożną, sąsiadom stał niewygodnym świadkiem.

Spękała się ściana starego domu, ale rysa w murze zatrzymała nad posągiem, jakby zniszczenie szanować świętość umiała. — Wszyscy to za cud uznawali. W wyłobieniu prostém, nieco nad ziemią wzniesionem, był posążek kamienny Matki Bożej z dziećciem. Przed nią na mosiężnym łańcuchu, przez dawnych właścicieli fundowana, gorejąca co noc lampa. W niszy woskowe, drewniane wota i wieńce zeszlých kwiatów i bukiety, i robione kwiaty i wstęgi i czém tylko pobożność ludu ozdobić umiała swą świętość.—Sam posąg dźwigał także ozdoby na sobie.—Na szyi paciorki błyszczące, w rękę dziecka krzyżyk mosiężny, jakby przecucie męczeństwa—waż nawet u stóp dziewczicy na głowie miał papierowe rożki zapewne na śmiech przyczepione. Dwie srebrne, złożone, sadzone szklami korony, spoczywały na główkach matki i syna.—I nie dziw, Madonna miała w całym Transtevere największą wziętość, przed nią najwięcej się świec paliło, a gdy powódź zalewała domostwa, do niej Transteveranie biegli o pomoc prosić. — Co wieczora prawie, a szczególnie w soboty, braciszek kapucyn z bliskiego konwentu, przychodził z pobożnemi odśpiewywać loretańską litanią.

Właśnie na taki obraz natrafiamy.

U niszy klęczący braciszek, za nim z odkrytymi głowami ogorzali Transteveranie i kobiety z dziećmi na rękach i dziewczęta i chłopy. Z pobliskich domostw wychylone głowy, złożone do modlitwy ręce i cisza w koło, przerywana piesnią tylko. — I nabożeństwu nie szkodzą wejrzenia miłośne płonące gdzieniegdzie i ku sobie skierowane, ani krew na żelazach nie zaschła, ani Bóg wie jakie myśli, przeplatające modlitwę.—Dziwny lud! powiecie. — Dziwny, zaprawdę, lecz wolelibyście, żeby nie mając umiarkowania w namiętnościach, nie miał i wiary? Nie lepiejże że ma choć jedno? A że wiara nie potrafiła zgłuszyć w nim wybuchów passyi, czyż to wina wiary, czy wina ludu? czy wina natury stariej i nałogów odwiecznych? U tego ludu odzywa się jeszcze z piersi pogańska cześć ciała i ubóstwienie roskoszy nasycenia.—Wszyscy klęczą z odkrytymi głowami — na lewo Pepita, na prawo Jan — Pepita patrzy na niego z w pół uśmiechem, on na nią.—I w tłumie powoli on zbliża się do

niej i zagłuszona śpiewy wysnuwa się rozmowa urywana.—Twoje imię?—pyta Transteveranka.

— Juan.

— Juan! Juanito! piękne imię. Dziś wieczór Paolo w mieście, przyjdź pod okno od Tybru.

— O! Przyjdę. Paolo twój brat—?

— Nie brat mój, krewny.

— Kochanek?

— Co za myśl! Nigdy. Ja nie mam kochanka — zarumieniła się.

Wszyscy ruszyli z miejsc, bo się skończyła Antyfony, a poczęła kwesta przy odgłosie dzwonka, każdy dawał co mógł, co miał. I Jan rzucił pieniąż.— Nie widział że i rozmowy jego i wejrzeń na Pepitę był ktoś niedaleki świadkiem. Nie Paolo, ale Lazar, który z daleka nie spuszczał Pepity, ilekroć się z domu wychyliła. — Nie słyszał on słów rozmowy, ale widział ust poruszenia i domyślał reszty. — Gdy Jan posunął się ulicą, Lazar narzuciwszy kapelusz na oczy, puścił się w trop za nim. Pepita to spostrzegła.

— *Lazar, mio caro!*—zawołała—*Lazarino.*

Przyjaciel niechętnie dzwicznym głosem zwabiony odwrócił się.— Ona z uśmiechem wzywała go palcem na siebie. Ciężki był wybór, ale nieuchronny. Lazar raz jeszcze obejrzał się na Jana i zawrócił.

— Czego odemnie chcesz?—spytał szybko, myśląc że jeszcze dogoni niezuajomego — mów Pepita, bo nie mam czasu?—Do prawdy?—szydersko odpowiedziało dziewczę — Lazar nie ma czasu dla Pepity? A więc idź, nie zatrzymuję, idź, lecz pomnij.

— A szatanko! mów, czego chcesz odemnie?

— Nic, nic, Lazaro, wszak czasu nie masz. — I zwozдила go tak przedłużając umyślnie rozmowę, aby Juan miał czas ująć im z przed oczów.—No mówże, mów, a prędko mój aniele—dodał zbliżając się—czego chcesz odemnie. Czy żebym Paola wybił? czy żebym ci przyniósł, kwiatów lub wstążek?

— Nic, nic, wszak Lazar czasu nie ma.—A Lazar oglądał się niespokojnie ku oddalającemu Janowi i Pepita także. Trwało to chwilę, już go widać nie było—Pepita rozśmiała się wesoło.

— Idź Lazar, idź, nie mam do ciebie, jam cię tylko wywiodła, abys nie szedł za nim. Wszak za nim iść chciałeś, nieprawdaż?

Lazar zgrzytnął zębami z gniewu i pięść jej pokazał.—E, Pepita! zawołał, pamiętaj żebyś nie wpadła na zemstę Lazara.

Dziewczyna choć z przymusem się rozśmiała.

— Za cóż się będziesz mścił? spytała?

— Za moją miłość napróżną.

— Mścij że się na sobie, ale nie na mnie. Cóżem winna. Ja ci mówię ciągle że nie kocham ciebie.

— Ja ciągle powtarzam że cię kocham.

— Tem gorzej!

— A ty dajesz się ułować wdzięcznym słówkom heretyka, tedesco z białym włosom i szklannemi oczyma. Myślisz, żem waszój rozmowy w czasie nabożeństwa nie słyszał.

Dziewczyna pobladła, zgrzyła koniec chustki w białych ząbkach, pokręciła głową:—Doprawdy? spytała, słyszałeś całą rozmowę.—I spojrziała tak w oczy Lazara, że ten mimowolnie się zmieształ. — Powiedz mi cóż słyszałeś?

— Powiem to Paolowi.

— Zapewne, to najlepiej!—To mówiąc obróciła się, zmierzyla go hardym wzrokiem i odeszła.

Lazar puścił gniewne wejrzenie w ulicę, ale Jana już nie było, wyrwało mu się przekleństwo, zacisnął

zęby, podumał i wrócił. — A wieczór i noc szybko padały na Rzym, chwilę jeszcze ostatniemi blaski świeciły chmury, świeciły wieże, potem ciemniały, gasły i szata nocy pociągnęła się lazurowa po niebiosach, czarna po ziemi, na niebie złotym piaskiem gwiazd potrząśniona, na ziemi świecąca wodami i ogniskami, jak bramowaniem ognistem. — I Rzym z siesty się obudził, przeszedł do wieczornego życia, do śmiechu, śpiewu, przechadzki, miłosnych gwarów i gitary.

A w oknie winną latoroślą osłonięciem nie było nikogo, Lazar próżno w nie poglądał. Bo Pepita oddychała powietrzem wilgotnem nad-tybrowem.

Tam u żółtego rzeki brzegu stał Juan w płaszcz owinięty, a ona wychylona ku niemu, rozmawiała po cichu.

Jaka to była rozmowa?

W naszym języku słów może brak na nią. A potem słowóz to pisać kochanków rozmowy? Tam więcej uczuć i myśli, w drgnieniu spólnem serca, w wejrzeniu głębokiem, w jednem westchnieniu, niż w całych stosach ksiąg naszych. Biedne, biedne blade wyroby nasze, tem tylko czem się za brzegi wyleje czara uczucia, karmi się książką; ten zbytek co nie umjume uczuciu nieskończonemu, ta cząstka nieopstrzeżona zbiera się, suszy i składa w karty poetów — pisarzy. Lecz cóż to przy żywym zjawisku? Cień bladej, część czegoś odłamana, której brak tego czem żyła, brak barwy, głosu żywota.—Wyobraźnia czytelnika, sercem dorabiać musi co braknie poecie — biada, gdy się trafi na zimne serca— Wówczas poeta niepojęty i obraz fałszywy.

Rozmowa z Pepitą? spytacie — A! była to odwieczna kochanków rozmowa.—Znacie wszakże Shakesperowską Romea i Julii rozmowę? Wszyscy znajdują ją śmieszna — ona jest dziwnie prawdziwa, ale to głos płomiennego uczucia, który na zimno śmieszny się wydaje:—Królowo, gwiazdo, aniele, słońce moje—To wiele dla was, dla kochanka mało, on bóstwem ją uczciwszy, czuje, że jeszcze nie powiedział wszystkiego.

A z jej ust w początku coś płynie słodkiego, cichego, wstydlivego, póki zewnątrz zapal jego, wewnątrz bijące coraz mocniej serce, nie zafarbuje wyrazów ogniem. — Naówczas nastrojona jednym tonem płynie wielka pieśń miłości, cudowna—a dla was, dlanas, dla świata—śmieszna. Jak śmieszny pijany, jak niepojęty szalony. Bo wszystko w świecie jest uragowskiem, jest dziwną sprzecznością, jest walką dwóch żywiołów, dwóch pierwiastków, chłodu i gorąca, sztyderstwa i uczucia.

— Paolo powróci jutro, kiedy się zobaczymy?

— A! Juanito, alboż wiem; przejdź ulicą, gdy na winnej latorośli w oknie zobaczysz schnącą chustkę białą, to znak, że widzieć się nie możemy. Unikaj Lazara.

— Kto Lazaro?

— Mój sąsiad, *inamorato*, przesładuje mnie miłością swoją, ale ja go nie kocham.—I dziewczę uśmiechnęło się dziwnie.

— On po litanii gonił za tobą, dodała, jago wstrzymałam. Szczęściem nie dostrzegł ciebie i nie podслуchał rozmowy, choć się z tém chwalił.

Śmiech dał się słyszeć tuż blisko—Pepita skostniała od strachu—Jan użęła barkach ciężką rękę, która go z urwistego brzegu w Tybr silnie popchnęła. Chciał się zatrzymać i pochwycić niewidomego nieprzyjaciela, ale straciwszy równowagę, potoczył się

i padł do rzeki. — Szczęściem woda tu była nie głęboka—pęd jej nie szybki, po mieliznie Jan zamoczył się tylko, ale przelekniona Pepita krzyknęła, i miotając przekleństwa na Lazara, on to był bowiem, zawołała przytomna zawsze Janowi.

— Juanito, na prawo i rzuci się na tego zbójcę.

— Zbójca sam się na niego rzuci—To mówiąc Lazar, już był nad wodą.

Jan dobył sztyletu i oba rzucili się na siebie z wściekłością.—Pepita znikła z okna.

Nad wodą Tybrową, dwaj zapaśnicy zawiązawszy płaszcze na ręce, miotali się w próżnych ku sobie wysiłkach. Jan wyuczył się bić sztyletem, a myśl że Pepita nań patrzy, że czarno-oka ma być tej walki wygraną, dodawała mu siły i zręczności.— Jeszcze rozmazany rozmową, co go w siódme niebo uniosła, byłby na olbrzyma się porwał.— Lazar był silny, ale w tej chwili niższy duchem od przeciwnika swojego; jedno zemsta i gniew nim władały. A tam była miłość i gniew i zemsta i zjadłość i uczucie szczęścia, tyle siły wlewające w człowieka. — Dwa razy Lazar przesyłał na rękę Jana grubo nawinięty płaszcz, dwa razy żelazo zimne drasnęło go po skórze; raz znowu dobył się sztylet aż do piersi jego, ale nie głęboko—Lazar kilkakroć ranny wściekle przeklinał i coraz popychał w wodę przeciwnika.

W tej chwili Pepita ukazała się na brzegu z rozwianym włosom, zapalonem okiem i żelazem w rękę.—Lazar tyłem był ku niej zwrócony, i nim ją obaczył, już poczuł uderzenie z tyłu, którem go raniła w krzyże. Zachwiał się — Jan zwrócił i popchnął go ku wodzie nowem uderzeniem.

Lazar dwa razy tylko zawołał:—Pepita! Pepita—pochylił się i upadł w Tybr. Plusnęły fale.

W tej chwili Jan ulitował się nieprzyjaciela, rzucił się go ratować; ale pochylony nad nim, wnet w silne schwycony ramiona sam upaść musiał. — Nowa tedy walka, na którą płacząc z zalamanemi rękoma patrzyła Pepita. Ciemna noc nie dozwalała dojrzeć co się tam działo na fali Tybrowej; ale zwabieni krzyki sąsiedzi już biegli ku brzegu, biegł Paolo z nimi. Jeden z nich powstał tylko—na to czekała dziewczyna, zwróciła się pobiegła.

— Juanito mój żyje,—zawołała — Lazar z wodą popłynął.

VIII.

Juanito żył wprawdzie, ale ciężko ranny, a Lazar choć z wodą popłynął, nie utonął jednak i z zadanych ran nie zginął.

Zmieniło się tylko wielce położenie wszystkich: Lazar z kochanka, stał się nieprzyjacielem Pepity, postrachem Paola, przesładowcą Jana.

Nazajutrz zaraz w izdebce którą zajmował, dokoła zbroczonego, bladego, jęczącego Transteveranina, zasiedli wszyscy krewni, wszyscy przyjaciele Lazara. Na rozesłanej macie pokrytej płótnem rzuconem, leżał młody, niedawno wesół i pełen nadziei człowiek; nie bolał on nad sobą, nie stękał, nie jęczał, ani się odgrażał—mleczkał i syczał z bólu tylko. Stary stryj, matka, siostry, zamiast pocieszać, rozpalali jego zęby przeciw Pepicie i Janowi.

— Zabijesz heretyka *tedesca*, zabijesz Lazaro, ofiarowałam votum do Panny Maryi, ona ci do zemsty pomoże!

— A my ręką—ponuro rzekł stryj i brat.

— I my—szepnęły dwie siostry, w których zreni-cach błyszczał ogień dziki.

— Jeśli wyżyje—jęknął ranny.

— Jeśli umrzesz—dodał stryj zimno—ja go zabiję. Bądź spokojny.

— Lub my — rzekli drudzy.

— I Pepita zginie!

— O! Pepita!—boleśnie dokończył Lazar. — Kto-by się spodział! Ona mnie to najcięższy cios zadała. Żyd powiada że ta rana najniebezpieczniejsza.

I za tym szły przekleństwa rodziny. Jedna matka z suchem, wpadłem okiem mleczkała, ale twarz stariej wydawała boleść i gniew nad wszelki wyraz silniejszy. Czasem w modlitwie poruszyła tylko usta, potem znowu spuszczała oczy, nurzyła wzrok w syna, którego głowę trzymała na kolanach i zgięta w pół, była jak posąg niema, jak posąg nieruchoma.—Rany Lazara powolnie się goiły, powolnie zamykały się rany Jana; oba leżeli na łożu boleści, lecz jak różnie otoczeni.—Przy łożu Transteveranina rodzina cała, wszyscy swoi — u wezglowia obcego nikogo, jeden sąsiad Milanese czasem przez ciekawość się dowiedział, lekarz obojętny opatrzył ranę codzień, zachwalił pod niebiosą balsam, którym ją zalewał (bez skutku) i odszedł. Potem pusto było i mary tylko przeszłości tańcowały szatańskim tańcem rozpachy u łoża bolejącego. A! co to za okropne wspomnienie, gdy serce wpoi się w jego niezwrótność! To nigdy nie wróci! nigdy! Straszne słowo—człowiek przed tą potęgą swojej własnej historii, jest robakiem nikczemnym. Ja nie wiem dla czego dotąd nie szaleją od jednego tego słowa — Nigdy! Przeszłość!

I Pepity nie było, i nikogo od niej—

— Zapomniała!—mówił w duszy Jan.

Gdy gorączka owładnie człowiekiem i w dwójnasób siły na uczucie boleści natęży, z jakąż mocą naówczas na mózgu drgającym ryją się obrazy. W jakich płomieniach chodzą myśli, jak goreją uczucia zolbrzymione. Ciało naówczas zda się rozpiera duszę, rozwija ją, rozprasza, i nie dając jej skupić, ciężkiemi razy ją chłoszcze.

W gorączce Jan widział codzień przed sobą, dwóch chwil tylko — niestety—kochankę. Lecz jakże wybóstwiała mu, wyrosła, jak zlociste skrzydła miała na barkach, jaką aureolę u czoła!

Zeschłą gałązkę jaśminową tulił do piersi i płakał; lub zrywał się i chciał biedz za nią, szukać jej.

Gdy rany zamykać się poczęły i pierwsze rozdrażnienie ustawać, Jan podwójnie niespokojny, wysłał na zwiady.

Bartolo Milanese, ten mąż przezorności pełen, podjął się za sztukę złota, spełnić missyą dyskretnie i nie budząc podejrzeń. Ubogi antyków fałszywych przekupień wybrał się w podróż za Tybr, jakby drugi się wybierał za morze. Od młodości swej nie wiem czy tam był dwa razy, a napojony powieściami o krwawych obyczajach za-tybrowych dzieci, nie bez dumy w obec swej odwagi, nie bez głębokich namysłów, mierzonymi krokami, puścił się, zamknawszy wprzód żonę i córkę na kłódkę i poleciwszy sąsiadowi Pedrillo, który nieopodal sprzedawał *confetti*, aby miał oko na domostwo.

Gdy przyszło przejść Tybr, zimny dreszcz pobiegł po plecach Bartola, ale Rubikon przebyty; i odwaga wzrosła na widok że nigdzie nie grozi oczywiste niebezpieczeństwo. Łatwo mu było poznać stare domostwo, osłonięte latoroślą winną, po połamanych arkadach i nachylonej facyatce. Zbliżył się ku niemu ostrożnie, zmierzył oczyma. Nigdzie śladu życia, drzwi zaparte, niektóre okna zabite deskami.

Sąsiad wyszedł na próg drugiego domu bawiąc się końcami chustki zawiązaną niedbale na szyi.

— Słyszałem — ozwał się pozdrawiając z wymuszoną grzecznością Bartolo — że to domostwo jest na sprzedaż?

Sądził że niemógł począć zrzeczniej.

Nieznamy zmierzyl pytającego od stóp do głowy i obojętnie mu odrzekł:

— Nie wiem.

— Zdaje się być opuszczone?

— Być może —

— Niemoglibyście powiedzieć mi, od kogo się o tem lepiej nauczyć mogę?

— Ba! gdyby był Paolo!

— A gdzie jest Paolo?

— Bóg wie!

— Zniknął? co? — podchwytyjąc rzekł Bartolo i wyciągnął tabakierkę, chcąc ugruntować znajomość; lecz obcy ją odepchnął.

— W kilka dni po ranieniu Lazara —

— A! Lazara. *E vero!* słyszałem o tém. Lazar żyje?

— Lazar umarł — odrzekł chmurno nieznamy — ale zemsta żyje.

— *E vero!* — powtórzył potakując Milanese. — A Paolo i jego wychowanka?

— Pepita?

— *E vero*, Pepita —

— Niema ich tu dawno —

— A dokąd się wynieśli?

— Nikt nie wie. —

Milanese wielce zadowolony z wieści, jaką mu się bez walki i niekrwawo zdobyć udało, co najrychlej dzwoniąc swój tryumf uciekał do domu.

Na widok radosnej twarzy Bartola, Jan się podniósł sądząc że mu wesołą przynosi nowinę.

— Zwycięstwo! zwycięstwo! — rzekł Milanese na progu — byłem, wracam i wszystkiemu się dowiedział.

— A! mów do Boga. —

— Wszystko dobrze.

— Pepita?

— Znikła.

— Paolo?

— Zginął gdzieś bez wieści.

— Lazar?

— Umarł, ale sąsiedzi chwalą się że zemsta żyje.

— Gdzie się podzieli Pepita — i —

— Nikt a nikt nie wie.

— Cóż więc wiecie o nich?

— Właśnie to co mówię, że nikt nic nie wie o nich.

Jam spuścił głowę na poduszki bezsilny, a Milanese pojąć nie mógł, że się niecieszył chory tak pełną wiadomością. —

— Jako i nie dziękujecie mi, byłem przecie za Tybrem dla was! —

— O! dziękuje.

— I w niebezpieczeństwie!

— Jako?

— Z samych zapytań o Pepitę, już mnie wzięto za przyjaciela, może krewnego, i gdybym nie umknął — Bóg wie!

— Jako, odgrazano się na was?

— A! dzięki Bogu nie!

— Goniono?

— Bynajmniej.

— A cóż?

— Niebezpieczna i pełna groźb cichość, podstępne

milenie mnie otaczało. Ale przecież zna się człek na tém, jak najpilniej też umknąłem.

IX.

Napróżno przez Bartola Milanese i innych wysłańców starał się dowiedzieć Jan o Pepicie; próżno ozdrowiawszy sam Rzym i Transtevere z niebezpieczeństwem życia przebiegał, zaglądał do okien, ścisgał kibić podobną, ruchy zbliżone do wdzięcznych poruszeń dziewczęcia — nigdzie jej nie było.

Nieopuszczał jednak mieszkania, zawsze w nadziei, że Pepita gdy będzie mogła, poszuka go w znajomém już sobie miejscu. — Gałązka zeschniętego jaśminu i niezgojone jeszcze rany jedyną mu pozostały po tak krótkiej miłości pamiątką. — A! i obraz dziewczęcia tém cudniejszy, tém wdzięczniejszy, że go złotem na tle niebieskiem marzenia wyobraźnia wymalowała, zdobiąc co dzień, strojąc wszystkiém co gdzie, choćby w żądy swojej znalazła.

Nadeszły tymczasem miesiące jesieni i Roma powolnie zaludniać się zaczęła, ulice roić powozami, czerwienieć liberyą *porporatic*, ómieć narodem artystów powracających ze swych wycieczek do Neapolu, Florencyi lub Herkulanum. Przybywali Anglicy, Niemcy, Rossyianie, Francuzi, jedni wabieni arcydzielanami mistrzów, pęzlem nieśmiertelnym Rafaela i dłutem Michała-Anioła; drudzy zaciekawieni wielkimi religijnymi obrzędami, inni wreszcie przez próżniactwo obojętność, co szuka sama niewie czego, i rzuca się na wszelką nowość. W tych ostatnich nie się na widok Rzymu nie poruszyło; chcieli jeść śniadanie w Katakombach, chcieli głośno rozmawiać w Bazylice S. Piotra, lornetowali w czasie mszy w Sykstyńskiej kaplicy, placili kopaczom za mniemane starożytności i w końcu powiadali, że Rzym ma przesadzoną wcale reputacyą.

W narodzie artystów, inne myśli, inne życie! O poczciwy to naród, sercem młody zawsze, głową stary, uniesieniem dziecinny, a poczciwy, a poezyą przerosły!

Ma w prawdzie wady, ale któż wad niema? Wady jego wszakże najczęściej ze zbytku jakiegoś ślacheznego przymiotu pochodzą. — A któż lepiej, kto pełniej pojmuje świat od artystów prawdziwie imienia tego godnych? Dla nich materya w fenomenach swych objawów niema tajemnic, nauka obcą im być też nie może, dzieje, wszystko co ludzkości dotyczy przyswoić sobie muszą; głęboka wiara i wielostronna wiedza skojarzyć się powinny na artystę, uczucie i rozum; dodajcie tę potęgę twórczą, której ciągle wcielanie myśli nową nadaje siłę. — Patrzcież jak im przy ubóstwie i źle ukrywanej wżgardzie Jaśnie Wielmożnego świata, wesoło jednak i dobrze! O! bo oni ze strony prawdziwej życie pojęli. — Koszulę oddadzą biednemu, życie oddadzą nauce i doskonaleniu się. — A że przytém zgłodniłi rokoszy, wydziedziczeniz niej, czasem zapragną jej całą duszy siłą, czasem umrą w objęciach jakiej Fornariny? czyż ich wiara? Świat przecie jałmużną choć trochę nasycenia dać im powinien za życia, gdy resztę sprawiedliwości odkłada do czasu, jak już żyć przestaną i bratać się z wielbionymi nie będzie niebezpieczeństwa! Świat filut stary wywyższa geniusze po śmierci, bo się ich już wówczas nie boi. — Za życia, kazaliby sobie może uszanowaniem, ciężą płacić przyznane zasługi. — O! wara — z tego nic nie będzie. Zamkną ich w czterech deskach, a pamięć ukoronować. — Na dobitkę powiedzą, że ani żywych osądzić sprawiedliwie nie mo-

zna, ani żywym kadzic przedwcześnie, bo kadzidło psuje. Kadzidło! zapewne, ale sprawiedliwość, to potrzebne jak powietrze którem żyjemy; można wprawdzie przywyknąć do zgniłych wyziewów błota i wzięnia—ale jakież tam życie!...

Otośmy teraz na poddaszu u artysty. Ogromna izba potynkowana i pobielona tylko, urządzona umyślnie na malarnię, z dachu okno światło rzuca potężne, światło, ten pierwszy malarstwa pierwiastek. W ciemnych kątkach dwa łóżka, ale znać po nich, że nie spać, nie spoczywać przybyli tu artyści, bo łóżka ledwie przed wieki posłane i potem już zapomniane raz na zawsze. Na murach prócz półek ze słóikami, flaszami, farbami i t. p. z kilką książkami o sztuce, o dziejach, same studja, szkice, głowy i schnące podmalówki obrazów.

Tu studjum ze starca, tam głowa bryganta, to uśmiechające się oblicze dziewczynki na pół nagiej, na pół dzikiej; dalej kawałek kopii z fresku, karton kompozycji, podmalówka obrazu. Na ziemi obmoconą chustą owinięta makietka i *ebauchoir*:— a dalej jeszcze dwa trójnogi, dwa krzeselka i dwa płótna, na w pół założone. Na jednym z nich pejzaż z okolic Neapolu z grupą malowniczą ludu słuchającego Improwizatora (myśl Leopolda Roberta) — na drugim Neron w Cyrku uganiający wozem w tumanach pyłu, ogromna kompozycja, zuchwałego jak wszyscy młodzi malarza, który kilkaset osób rzucił w płótno i kazał im żyć. ruszać się, krzyczeć i plaskać w ręce Cezarowi—artyście! Okropne szysterstwo—i późna zemsta sztuki nad Cezarem!

Dwa towarzysze i mieszkańcy poddasza, to Francuzi, *dejaux prix de Rome*, jak ich tam nazywają, serdeczni przyjaciele, może dla tego, że przeciwnych jak dwa bieguny charakterów.

Antoine Grioux i Bernard Cochin — wyszli razem z nadzieją sławy i żądzą widzenia Rzymu, poznali się w drodze dopiero, ścisnęli dłonie, pomieszali tłumoczek i myśli, w jeden wysypali dwa worki i tak żyją już dwa lata. Antoine Grioux ulubieniec pana Ingres, surowy rysownik, głęboki w pomysłach, pełen mistycznej aż czasem religijności, ostrzyżony krótko, ogolony do włoska, zapięty na wszystkie guziki, wierzy w sztukę poddaną religii, służebnicę entuzjazmu. — Bernard Cochin, kolorysta, niewiele dbający o prawdę form, byle miały wdzięk, przekładający efekt nad wyraz, lubiący kompozycje tłumne, prawiający ciągle o liniach, o rzutach światła, mocny w technice sztuki — kocha Rafaela; Antoine Grioux woli Angelico da Fiesole, Perugina i unosi się nad naiwnością Łukasza z Lejdy i Van Dycków. Bernard nosi brodę *à tous crins*, włosy długie rozgarnione na czole, wąsy, axamitny surdut, pąsowe czasem szarawary, kapelusze dziwnie spiczasty i ogromną laskę w rękę.

Oba zresztą najpocziwsi ludzie, najzapaleńsi, w swęj sztuce zamilowani—artyści. Widok arcydzieł ich zachwyca, widok pięknej natury unosi, wielki czyn zapala. — Ale Bernard zarówno cenić umie w swém miejscu i czasie Angelica i Łukasza upodobanego Antoniemu; i Rafaela i Michała; gdy Antoine, jak wszyscy ludzie głębokiej wiary mniej tolerujący, zarzuca kochankowi Fornariny wdzięk bez wyrazu, brak uczucia religijnego, zwrot do pogańskich sztuk pierwiastków i t. d.

W tój chwili z cygarami w ustach, Bernard i Antoni siedzą w dwóch rogach izby. Bernard czyta Vasarego, a Antoni Danta.

Słyszac powolne kroki na wschodach, oba przerwali czytanie.

— To nasz Polak—rzekł Bernard idąc ku drzwiom—obietcał dziś być u nas. *Un bien pauvre homme!*

— Namiętność go pali—odrzekł Antoni. — Wiesz, kocha się w jakiejś Włoszce, która mu zginęła.

— Biedny! dla czegoż do lepiej nie kocha wszystkich Włoszek razem, jak ja naprzykład, co zarówno przyciskam do bijącego serca Annunciate, Charitę i ognistą naszą Bachantkę — Pepitę. —

— *Que voulez vous? tous les gouts sont dans la nature!*

— Zdanie które podzielam; ale co nie naturalne, to stałość gustu.

— U ciebie.

— O! jam szczery; inni toż samo robią, choć się nie przyznają, to na jedno wychodzi.— Antoni się uśmiechnął i rozmowa przerwała, drzwi bowiem otwarły się, wszedł Jan. — Ale jakże zmieniony, jak blade, jak smutny, jak pochylony tą miłością, która wprzód bezprzedmiotowa gorzała, potem wybuchła dla Pepity, teraz dwojako silna jadła biednego człowieka.

Bernard i Antoni żywo postąpili ku niemu, z umyślnym weselem na czole, weselem litościwego serca, które chce pocieszyć, choćby go najdrożej kosztować miało.

— On przyjął wesele jak jałmużnę i niechcąc swoją żalobą smucić drugich, rozjaśnił także czoło, choć z przymusem i ciężkością. —

Naturalnie rozmowa się zaczęła o Francyi, o sztukach, potem o Rzymie; ale Jan który dawniej wszystko czuć i pojmuwać umiał, teraz egoistyczną pasją, rozdrażnioną namiętnością oglupiony, ledwie znajdując wyraz na odpowiedź nieznaczącą. — O! nie tak człowieka nie zabija na umyśle, jak gryzące wspomnienie szczęścia które miał w rękę, którego mógł dostąpić, a które mu się wyrwało jak ptak, gdy go w gniazdku przydybia i dłoń już do skrzydeł jego dotkna. — Człowiek się smaga myślą własną, powtarzając sobie:—Sameś winien!—Taki był właśnie stan Jana.

Nieruchomy siedział przed obrazem Bernarda, wyobrażającym Nerona w Cyrku, i osłupiałem okiem wpatrywał się weń. — W tém odwrócił głowę, wzrok jego zatrzymał się na przeciwległej ścianie chwilę, powstał, zatrząsł się, zachwiał, i niewyraźnym, stłumionym głosem zawołał:

— Co to jest? co to jest?

To mówiac wskazywał na portret wiszący w ciemnej części poddasza.

Portret ten wyobrażał młodziechną dziewczynkę—sparta na łokciu wyglądała z okna zarzuconego pąsową axamitną draperyą ze złotą frendzlą. Smutek malował się na jej twarzy bladej, oczy zdawały się od łez czerwone, małeńka rączka podtrzymywała białą chustkę, rzekłbyś, od łez mokrą. Stróż zbliżając się do pospolitego stroju ludu, był jednak wytworny i bogaty—giętka, dziecięca jeszcze kibić dziewczęcia obwieszona była błyskotkami.— Na szyi perły z staroświecką zapinką, na głowie szpilka zkameem w oprawie bogatjej, u uszu kolce długie z perłami, na rączce złocisty wąż i dwie inne bransolety.—A na twarzy—mój Boże! mimo wyrytych lat piętnastu; tego wieku wesela, ryl się widoczny smutek, czytales ślady łez—oczy nieco wpadłe, policzki wklęsłe trochę, czoło przysłonięte mgłą zamyślenia ponurego.

To była Pepita! pomylić się niepodobna — to ona

była—ona. Tylko dla czegoż tak bogato strojna? dla czego tak smutna i smutkiem zestarzała?

Gdy Jan spytał wskazując portret: Co to jest?

— Bernard i Antoni spojrzeli razem ku portretowi i Bernard pierwszy rzekł żywo.

— A! miałbyś ją znać?

— To ona! to ona!—zawołał Jan biegnąc ku ścianie — to ona!

— Twoja kochanka—rzekł Bernard—rozumiem.

— Kto z was ją malował? gdzie ona? powiedzcie mi na Boga?

— Będziesz wszystko wiedział, siadaj, słuchaj i słuchaj spokojnie—odzyszczesz ją.— Ona tu jest, tu w Rzymie, ale ukryta przed oczyma wszystkich, ale biedna zaprzędana!

— Gdzie — gdzie! komu? zaprzędana powiadasz.

— Na Boga, cierpliwości trochę. Ona płacze za tobą, odzyskasz ją.

— A! splamioną, sprzedaną — łamiąc ręce wołał Jan.

Bernard milczał.

— Co się stało — dodał po chwili — temu dajmy pokój. Myślmy o przyszłości. Chcesz się o niej dowiedzieć, posłuchaj. Niedawno zwiedzałem niektóre pałace możnych Rzymian, dla widzenia w nich fresków i obrazów. Wskazano mi dom Signora Maledetto, jako skarbnicę najciekawszych pamiątek, ale razem uprzedzono że trudno do nich dostąpić. Maledetto—niewiem dla czego to nazwisko czy przezwisko noszący, nie jest potomkiem żadnej wielkiej rodziny; dorobił się on ogromnego majątku Bóg wie jakimi tajemniczymi sposobami. Jedni mówią że sprzedawał podrabiane obrazy i medale w młodości, drudzy gorzej jeszcze. Potem zaczął pożyczać na zastawy, założył biuro bankowe, kupił z licytacji piękny pałac na *Strada Corso* i zaczął nabywać obrazy, posągi. — Posiadając jeden z najpiękniejszych gmachów Rzymu, zebrawszy w nim najciekawsze pamiątki, jakie jeszcze we Włoszech nabyć było można, arcydzieła niezachwianej autentyczności, Andrea Maledetto nie zmienił dawnego sposobu życia. W pałacu on jeden mieszkał, bez dworu, ludzi, bez wystawy. Na dole jego biuro bankowe, na górze on sam z arcydziełami i skarbnicami. Dodają, że do widzenia swych drogocennych pomników sztuki nikogo prawie nie przepuszczał. Maledetto stary już jest i prawie zgrzybiały. Życie pracy, nędzy, skąpstwa, złamało go i zużyło może przed czasem. Głowa lysa ogromna na suchem wznosi się ciele, drżące nogi, długie kościste ręce—w czasie dwoje oczów krwią zabiegłych, usta paralitycznie skrzywione, policzki zmarszczone jak jabłko pieczone. Oto on:

Strój jego wytarty, biedny. — Sam dla siebie jest wszystkim: panem, sługą, dworem i przyjacielem. Jeden stary stróż i jeden pisarz składają całą ludność ogromnego pałacu. Maledetto sam zajmuje się wszystkim, klucze nosi przy sobie, bankiem zawiaduje, przyprawia swoje macaroni, czyści obrazy, liczy pieniądze—i dla odzyskania kilku karlinów, pieszo idzie na drugi koniec miasta. Dodaj że niema ani krewnych, ani znajomych nawet od serca, z nikim nie żyje, choć wielu przepytanych by się do niego chcieli.

Jak i gdzie Maledetto poznał Pepitę, niewiem. Zapewne na schyłku życia zachciało mu się skosztować jedynej jeszcze nieznannej rokoszy, i ten szkielec obrzydły kupił dziewczynę.

— Mów, mów dalej—zakrzyczał Jan—wnętrznosci mi się rozdierają — prędzej mów, prędzej.

— Zachwalono mi zbiór obrazów i marmury Andrea Maledetty. Ale jak się tam dostać? jakim pozorem? Stary Cicerone znający się ze stróżem pałacu zapewnił mnie, że Andrea dnia jednego wynijdzie na przedmieścia po pieniądze, i że kupiwszy starego Lamberta posługacza, ten mi pozwoli przebieść galerią Maledetty. Z południa więc dnia jednego—idę.— Lamberto, godny swego pana sługa, stary łachman człowieka, wytargowawszy się ze mną, poprowadził mnie na górę. Byłem w zachwyceniu! A! co arcydzieł! Wiele obrazów, których doskonale kopie pod imieniem oryginałów Rafaela, Giulio Romano, Andrea del Sarto, Dominiquina, Guido Reni, pojechały do Anglii i zdobią Muzeum narodowe w Londynie, tu się w prawdziwych oryginałach znajdują.— Mnóstwo marmurów, bronzów dawnych, etrusków.— Stałem osłupiały, bo prócz Watykańskiej żadnej jeszcze tak bogatej kolekcji nie widziałem. Nie wierzyłem oczom. Przebiegłem oszalony wielością skarbów nagromadzonych, dwie czy trzy sale. Na końcu w pół otwarte drzwi uchylam i widzę...

— Pepitę! — zawołał Jan. —

— Właśnie, siedziała w oknie smutna, strojna jak posąg Madonny, obróciła się ku mnie z podziwieniem, popatrzyła, a w tym nielitościwy Lamberto drzwi mrużąc zatrasnął.

Jakkolwiek nieobojętny jestem wcale na wdzięki kobiece, a Pepita zachwycająca, więcej mnie jednak w tej chwili zajęły arcydzieła—bom przedewszystkiem artysta. Stałem niemy przed wyborną kopią S. Cecylii Rafaela przez Giulio Romano i nasycić się nią nie mogłem.

W tym czuję że Lambert ciągnie mnie siłą ku drzwiom — opieram się nieprzytomny, słychać kroki na wschodach,—Lambert z rozpazą szarpie mnie—wchodzi Maledetto. Wszedł i wprost jak na złodzieja rzucił się na mnie; myślałem że mnie udusi — Lambert mu pomagał.

— Co on tu robi? co on tu robi?—krzyczał trzęsący się ze złości Andrea.

— Wszedł gwałtem, wcisnął się, napadł — odpowiedział Lambert.

— Złodziej — dodał Maledetto — złodziej. —

Ledwie mi mógł wydobyć z jego uścisku silnego i wytłumaczyć. Ale próżno zwałalem winę na Lamberta, który zajadłe mi przeczył i dowodził że wszedł napaścią. Bał się chleba utracić.

— Jestem malarz, artysta, rzekłem w końcu do gospodarza—każecie mi, wyjdę, ale co w tym złego że zobaczył skarby wasze?

— A prawda—mimowolnie wyrwało się Maledetto—że skarby mam. — I oczy mu się zaiskrzyły.

— O! arcydzieła.

— I wyscie malarz? zapytał trochę udobruchany.

— Jestem malarzem.

Zamyslił się. —

— Robisz portrety? spytał znowu.

— Robię, odpowiedziałem, bo jużem się nieco domyślał, o co mu szło.

— I podjąłbyś się zrobić mi—tu się zatrzymał.

Wskazałem ręką na drzwi pokoju, gdzie była Pepita. Stary zaprzytył się, zaczerwienił i rzucił na Lamberta, którego wypchnął za drzwi: — Precz, precz! ani noga tu twoja niech nie postanie! Widział ją! widział.

— Widziałem ale przypadkiem — odrzekłem. On stał chmurny i niespokojny. —

— Zrobicie mi jój portret?

— Dla czegoż nie? —

— Na swoim płótnie, swojemi farbami.

— Chociażby. —

A za to pozwolę widzieć wszystko co mam, bo mam daleko więcej jeszcze. Pocziwy Lamberto, — zawołał miotając się — on sobie przedawał moją galerią, pokazywał ją, okradał mnie. I chwyciwszy mnie za rękę nagle wyprowadził, a raczej wyniósł z sali, goniąc Lamberta, bo mu na myśl przyszło, odebrać starem stróżowi, co wedle niego mógł zebrać pokazywaniem galerii.

— Jutro, jutro — rzekł mi. — I takeśmy się rozstali. Nazajutrz malowałem portret Pepity: Maledetto był świadkiem nieodstępny. O! gdybyście widzieli jego obejście się z nią.

— Okrutne? nielitościwe — zawołał Jan — ale ja go zabiję?

— O! bynajmniej — przerwał Bernard — prócz że jej wychodzić zabrania, jest panią i swobodną. — Nie możecie wyobrazić sobie, co ona z tym starcem wyrabia! Niema czego by jej odmówił. Często znajdowałem go leżącego u nóg jej, z krwawymi oczyma, drżącego, konwulsyjnie targanego namiętnością — Ona go malenkimi deptała nóżkami.

— Straszny ten człowiek przy niej był łagodnym barankiem. Słał u kolan jej perły, złoto, najdroższe błyskotki, które kapryśna Pepita rzucała czasem oknem w rozpacz. Na ówczas Maledetto leciał je zbierać na bruku, lub nawet — osłupiałem patrząc na to okiem — nieruszał się z miejsca. Wszystko było dla niej, ona nie chciała niczego. Nieraz słyszałem ją wołającą; puść mnie — uwolń!

— O! prędzej umrę! — bijąc się w pierś stłumionym głosem odpowiadał Andrea.

— I wystawcie sobie tę parę dziwnie skojarzoną: On stary, obrzydliwy, drżący; ona świeża, młoda i tak cudnie piękna. Codzień pasąc się jej wdziękami, Maledetto żyje prawdziwie jak przeklęty, w ciągłej żądzy, rozdrażnieniu i wzrastającej rozpacz; bo Pepita grozi mu sztyletem ilekroć przystąpi do niej.

— Pokaż mi dom Maledetty — rzekł zrywając się Jan.

— Każdy ci go pokaże; ale jak wejdiesz?

— Siłą, zdradą, pieniędzmi. —

— Niczem. Ale słuchaj, portret Pepity skończony, bierz go i odnieś Maledeccie. —

— O! zbawisz mnie! — To mówiąc Jan rzucił się szybko jak myśl ku ścianie; Bernard uśmiechał się pół radością, pół podziwieniem nad tym zapalem nie szczęśliwego. I zdjęli obraz ze ściany, okryli go zieloną oponą; Jan nieumiejąc ani dziękować, ani czekać, w tejże chwili wybierał się za drzwi.

— Czekaj! rzekł Bernard — ale jakże dostaniesz się do niej?

— Do niej? — wszakże będę u Maledetty?

— Ale on cię do niej nie dopuści. Słuchaj więc: powiedz żem chory i że cię przysłałem abyś poprawił i dokończył nieco zasłony i błyskotek. Oto masz pęzle, pudełko moje malarskie. Trójnog stoi w galerii Maledetty. I szczęścia ci życzę!

Jan już był na wschodach. —

X.

Na Strada Corso był pałac kupiony przez Maledetto od lat kilku, pałac w najpiękniejszym stylu odrodzenia, arcydzieło architektury. Same już rzeźby i karjatydy podtrzymujące ogromny balkon, wyborne go dłuta, zastanawiały przechodnia. Naderzwiami

głównymi stary herb dawnych właścicieli podtrzymywany przez dwa geniusze, został nienaruszony. Herb ten dłutował Donato; ozdoby jego pod niebem Italii z całą czystością rysów przechowały się na podziw dzisiejszym artystom. — Ogromny rząd okien, pod którymi piękne wyciągały się płaskorzeźby, przecinał fronton budowy. Wieńce z owoców i kwiatów obejmowały ich ramy. Ale pusto było w dawniej wspaniałej budowie i marmurowe pyszne wschody, wiodące na górę, kurzem były pokryte. Zaledwie Jan przeszedł bramę, odarty stróż, następca Lamberta, zaparł mu drogę.

— Do Banku, rzekł, na dole — i wskazał.

— Do Signora Maledetty?

— Na górę, ale go niema. —

— Odnoszę obraz, który —

Stróż wpatrzył się w Jana!

— Wyście nie malarz Francuz, co tu malował Signorę Pepitę?

— Brat jego, on mnie przysłał, mam kończyć obraz.

— Ale Signor Maledetta nie pozwala puszczać nikogo w swojej niebytności. —

— Jutro odjeżdżamy, obraz potrzeba dokończyć.

Stróż wahał się i sam niewiedział co począć.

— Jeżeli teraz wnijsć nie można, to obraz przepadnie, rzekł, ja idę, ale wrócić nie mam czasu.

— Ale ja was puścić nie mogę. —

Na te słowa jak burza, obaczywszy kogoś stojącego w bramie, nadbiegł powracający Andrea.

— Co? co? kto to? zawołał. — Bernardo? nie? Kto wy? I wlepił oczy w Jana.

— Brat Bernarda, z obrazem dla was. —

— A Bernardo? — podejrzliwie spytał starzec. —

— Chory. Mnie polecił draperyę portretu dokończyć, bo jutro lub za dwa dni jedziemy.

Andrea wahał się. —

— Pokaż mi portret? rzekł

— Jan odsłonił zielone płótno i starzec zabełkotał coś niezrozumiale, trąc ręce. — Wpatrywał się.

— Ale cóż tu będziesz kończył?

— Draperye —

— Tu niema nic do kończenia. Jan zapłonął się z niecierpliwości. —

— Przepraszam was, jeżeli mi niepozwolicie dodać łączące te światła i zbyt surowe pół cienie, glaserunki — jeżeli nie wykończę niektórych szczegółów, niemożę wam oddać portretu. Bernard dba o sławę swoją. A ja twarzy nie tknę.

Maledetto pożerał tym czasem portret oczyma; potem postąpił na górę i dał tylko znak Janowi, aby szedł za nim.

— Z jakimże biciem serca, z jakim niepokojem, szedł za nim biedny kochanek Pepity. W głowie mu się zawracało i ogromne schody co chwila zdawały z pod nóg uciekać.

Przechodzili ogromny szereg sal, całych zawieszonych obrazami, zastawionych posagi i płaskorzeźbami. — Nagromadzone tu skarby, nie były w porządku — posąg zastaniał obraz, obraz opierał się o płasko rzeźbę, marmury i mozaiki uścielały ziemię, brzozy wychylały się z ciemnych kątów, na cudnej roboty naczyniu Celliniego, wisiał łachman starzej kamizoli, na bogatym Etrusku kawał czerniałego galona. W marmurowym wazonie cudnie pięknego kształtu, zsypana była mąka — i t. p.

Ale Jan nic nie widział, ani arcydzieł, ani nieporządku, szedł za Maledettą, który drzwi otwierał i

zamykał za sobą, z bijącym sercem, z pomieszaniem wzrokiem. — Doszli wreszcie do małego gabinetu, o wysokich ścianach marmurem wykładanych, o złoconych ramach. — Od sufitu zwieszał się kryształowy świecznik złożony—na oknie stały kwiaty—dwa krzesła stare, obite pasowym aksamitem spłowiałym w środku, marmurowy stół biały u komina, nad którym zwierciadło przepyszne.—Tu już były ślady życia, ale Pepity nie było. Na stole rzucone bransoletki, perły, pierścienie, na ziemi bukiet uwiędły, suknia zdeptana na krzesle.

— Pepita! schrzyplym, drżącym i niepokoju pełnym głosem zawołał stary poglądając po kątach — Pepita!

Z drugiego pokoju, od którego drzwi stały w pół przyknięte, głos znany Janowi odpowiedział.

— O! Maledetto!

— Pepita.

— Tyś tu znowu?

— *E sempre.*

— *Maledetto!*—powtórzył głos pełen rozpacz i łez utajonych.

— Chodź Pepito!

— Nie pójdę.

— Malarz czeka na ciebie.

— Niech twój tam twarz maluje!

— Kochanko, Pepito! — dodał zbliżając się ku drzwiom starzec; ale w tej chwili drzwi się silnie pochnięte zatrzasły i klucz z drugiej strony obrócił w zamku.

Jan struchlał ze strachu—mógł jej nie widzieć.

Tymczasem starzec u drzwi parlamentował pół głosem. Długą była dla Jana chwila gorzkiej niepełności i niepokoju.—Nareszcie po gorących prośbach i nie wiem jakich niedosłyszanych przyrzeczeniach starca, klucz znowu obrócił się w zamku, powolnie drzwi przetworzyły—Pepita w nich się ukazała.

Strasznie zmieniona! Dziecinne jej kształty, dziewczęca drobność zmieniła w wychudłość, oczy przyćmione od łez, blade lice, a na czole dziwne sine refleksy, pod oczyma zielone pręgi bólesci! Jan upuścił z rąk obraz; usiłował on pohamować by nieokazać wzruszenia, by się nie zdradzić. Spojrzenie Pepity padło na niego, usta jej otwarte, ale z ust nie wyszedł głos. Szczęście dało jej siłę na kłamstwo.—Zadrzała cała, zachwiała się chwilę i weszła spokojna, obojętna na pozór, na pozór nawet nie rada. Starzec wziął kraj jej sukienki i całował go w pół schylony, zgięty, upokorzony przed nią. Sam postawił krzesło, wybrał światło.—Cały drżący Jan stawiał płótno na trójnogu, nie wiedział co robił. Dwa razy oczy ich się spotkały —a mówić, a powitać się nie mogli!

Pepita okrywającego ją, cisnącego się ku niej starca, odpychała dumnie i bez litości.—Gdy przyszło do malowania, Jan, który nie wiedział jak i do czego wziąć się, a lękał się wydać nieumiejętności swojej, a raczej nieprzytomności—długo szukał światła, zbliżał, oddalał, próbował, mięszał Sienną i Laki, Asfalt i Ombre, do mniemanych głaśerunków; a nic nie poczynał. Stary trząsł głową z niecierpliwości.

— Wasz brat daleko ód was zręczniejszy — rzekł z cicha.

— Być może.

— Pozwólcie mi odejść na chwilę — porywając się żywo, zawołała Pepita i szepnęła coś na ucho starcowi.

— Do czego?—równie cicho odrzekł starzec — zgodził się darmo cię odmalować.

— Ja tego chcę—zawołała dziewczyna.

— Ale ja nie mam pieniędzy—mrucał Andrea.

— Ja mam—odpowiedziała Pepita—idę i przyniosę, oddam mu.

— To daremna strata.

— Ja tak chcę—tupając nóżką powtórzyła.

— Rób jak chcesz.

Pepita wybiegła i chwilę tylko zabawiła, wróciwszy trzymała coś w papier uwiniełego.

Jan nareszcie uspokojony nieco, odważył się głasować ciemniejsze miejsca portretu—ale tak lekko, że im tylko połysk dawał. Stary poglądał nań z ukosa i nie ganił roboty.

— Jutro przyjdę dokończyć jeszcze, teraz niech wysycha—dodał okrywając trójnog i spoglądając na Pepitę.

Ona wstała niespokojnie z krzesła.

— Daj pokój, nie rób tego—szepnął Andrea.

— Ja tak chcę—powtórzyła uparta.

Maledetto ustąpił. Z uśmiechem zbliżyła się Pepita do Jana.

— Oddajcie tobratu—rzekła wciskając mu ze znaczącym spojrzaniem zawinięte pieniądze: — a jutro przyjdźcie dokończyć.

Maledetto niespokojnym okiem zajrzał w dłoń Jana, ten z początku wahał się czy przyjąć pieniądze, ale pomiarkowawszy że papier co innego zawierać może—ukłonił się i ścisnął je.

Pepita raz jeszcze spojrzała na niego, a już Andrea za drzwi go wyprowadzał.

W chwili gdy Maledetto stał tyłem do niej, dziewczę przyłożyło do ust rękę i posłało kochankowi pocałunek—niebieski! Potem przyłożyła rękę do serca i westchnęła. Na resztę nielitościwe drzwi się zamknęły.

— Co ona tam wam dała?—spytał z pół uśmiechem za drzwiami Andrea.—Pokażcie mi, jam ciekawy.

— Andrea! Andrea!—odezwał się głos Pepity — do mnie!

— Idę, idę!—szybko odrzekł stary niespokojny i rozerwany co miał czynić; czy wracać do Pepity, czy przeprowadzać dalej malarza.

— No! prędzej, idźcie! idźcie — dodał — i nie zamykajcie drzwi za sobą.

Tym sposobem stojąc na progu gabinetu — Maledetto przeprowadził oczyma Jana, przechodzącego szereg sal w rząd za sobą postępujących.

XI.

Wybiegłszy na ulicę, obejrzawszy się w koło, Jan rozerwał papier obwijający kilka sztuk złota. Na zmietym świstku niewyraźnie i szybko nakreślone były, nie wiem czem, słowa:

— Dziś—w nocy—spuszczę się z okna.—Uciekajmy—Juanito! ratuj mnie.

Szybko biegł ku swemu mieszkaniu Jan, ani spostrzegł jak gnany myślą, z wzdętą od szczęścia pierśią—dostał się do izdebki, którą zajmował. — W takim pomieszczeniu jak tu obmyślić środki ucieczki? kogo użyć do tego.

Ostrożny Milanese tyle mu dał dowodów zupełnej niezdatności swojej, że o nim i myśleć nie było można. Jan wspomniął na poczciwego Bernarda, Bernard mieszkał o trzy kroki—zerwał się więc i pobiegł. Po wnijsciu jego poznali malarze, że z dobrą szedł wieścią. Twarz mu się płomieniła, mówić nie mógł, rzucił się nakrzesło i zakrywszy dłonią twarz, oddychał ciężko.

Bernard z pędem w rękę, stał nad nim czekając słowa.

— Wiesz—rzekł nie mogąc się wreszcie doczekać

— ślicznie siadłeś, *posa* doskonała, muszę ją zapamiętać i schwytać. Ale cóż się tam stało?

- A! daj mi odetchnąć—zawołał Jan.
- Widziałeś ją?
- Widziałem—dziś—w nocy—uciekamy.
- Wiwat.
- Oto twoje pieniądze.
- Jakie moje?
- Ona ci je przysłała.

Bernard wielkie wytrzeszczył oczy, a potem rozsmiał na całe gardło.

— Umówiłem się malować ją darmo, cóż to znaczy?

Jan przyszedłszy nieco do siebie, opowiedział narzeczcie wszystko zaciekawionym artystom.

— A teraz, dodał, nadzieja w was! ratujcie mnie i ją. Nie mam dość przytomności aby się zająć czemkolwiek. Nie mam środków do ucieczki. Maledetto gonić będzie. Trzebaby się na czas skryć gdzie w pobliżu.

- W naszej najęttej willi.
- O której może wiedzieć Andrea.
- O! nie może!
- Ale konie, przewodnik.
- Konie najmiemy, ja przewodnikiem — zawołał Bernard.—Ale wytłumacz mi te pieniądze?
- Tłumaczą się tą karteczką.
- Cóż mam robić z niemi?
- Co chcesz. Lecz na Boga, nie zawieź mnie.
- Gdzie mam czekać?
- W rogu ulicy, pod ś. Antonim.
- Godzina?
- Północ, lub wcześniej.

Bernard wziął swój spiczasty kapelusz i wyszedł; Jan pobiegł do mieszkania. Przybory do drogi poszły prędko i nim wieczór nadszedł, wszystko było gotowe. Jan niespokojny, w gorączce oczekiwał.

Pod niebem włoskiem rzadkie są burze, ale straszne—prędko przechodzą, ale wrą przerażające, silne, gwałtowne.—One są jak namiętności tutejszych mieszkańców, żywe a krótkie; pod naszym niebem trwają dłużej może, ale słabsze, ale blade.

— Tej nocy właśnie jak na szczęście zebrało się na burzę. Z wieczora już czarna chmur ława wisiała na zachodo-południu z błyskawicą i warczeniem; postępując powolnie i osłaniając jaśniejszą część nieba.

Z ulic znikło co żyło, każdy się ukrył w domu, prócz zakochanych i złodziejów. Wicher z kroplistym deszczem bił w szerokie okna pałaców na Corso, gdy Jan obwinięty w płaszcz, stanął u balkonu.—W oknach ciemno już było zupełnie—nikogo, ani życia śladu, tylko coś jakby biała twarz mignęła za szybami.—Powolnie otwarły się drzwi na balkon, w cichości schylona Pepita uwiązywała długą taśmę do żelaznych prętów jego.—Zadrzał Jan, gdy ujrzał ją pochyloną zawisłą i spuszczać się na cienkim sznurze.

Drobne ciało dziewczyny wkrótce było już w jego ramionach, a ten pierwszy uścisk o mało ich nie zgubił, bo w nim o całym zapomnieli świecie, bo Jan sparł się o mur i zarzucone na szyję czując rączki Pepity, jęł usta gorące na ustach, jęł serce bijące przy swjej pierśi—oszalał. W pół ją schwywszy cisnął do siebie, niezrozumiałemi witając wyrazy.

— Uciekajmy, uciekajmy! zawołała Pepita.

I dopiero ruszyli ku miejscu, gdzie ich czekał Bernardo z końmi. Ale Jan nie chciał z objąć wypuścić Pepity, niósł ją jak dziecko tuląc ku sobie, przychylając twarz do jęł twarzy, całując czarne jęł włosy rozpuszczone po szyi, całując bijącą gwałto-

wnie pierś drobną.

— Tu, tu! — odezwał się Bernard do 'mijającego Jana. I rzucili się na koń. Jan jeszcze nie puścił Pepity, zebrawszy cugle jedną, drugą ręką garnął swój skarb do siebie; a dziewczę zawisło na jego szyi, dyszące, we łzach radości, w upojeniu miłosnem.

A nad nimi szalała burza gwałtownie, lały deszczu potoki, błyskawice darły i szarpały ciemności, grzmot po pustych rozlegał się ulicach. Kiedy niekiedy nad ryk burzy, przed której potęgą lekliwie zastanawiały się konie, wypłynął głos dzwonka płaczliwy. — Minęli ludniejsze ulice i w puste zabiegli przedmieścia. Tu rozszerzający się widokraż straszliwym jeszcze uczynił ten obraz.

— O! Matko święta, ratuj nas! — wołała całując medalik na szyi zwieszony Pepita.

Jak zjrzeć, ciemności się słały straszne, głębokie, chaotyczne, niżej czerniała nieprzejrzana ziemia, w górze czerniały ledwie gdzieś niegdzieś rozsunięte trochę obłoki. Na ich tle ponurem, stare mury i rozwaliny Rzymu malowały się olbrzymiemi massami, niekiedy rozjaśnione błyskawicą bielejąc poczwarnie jak szczątki Babilonu, jak odlamy wielkiej przedpotopowej stolicy — pustej i zniszczonej gniewem Bożym. Wicher zabiegając w mury i zwaliska wyl, jęczał i dziwnemi odzywał się głosy, a uderzający piorun jeszcze się toczył daleko po płaskiej Kampanii Rzymu, gdy już drugi z łoskotem rozbijał powietrze i wałami jego miotał.—Bernard nie mógł się wstrzymać od wykrzyku:—Co za obraz cudowny! co za efekt niezrównany! co za studium dla Martina! To burza przedpotopowa! O! czemuż tego odmalować nie można!

A gdy tak artysta, zawsze wierny swjej naturze, unosił się nad obrazem, Jan ledwie wiedział, że jest burza, i potoki deszczu obmywają ich. — Okrywszy Pepitę swym płaszczem, obsypując ją gorącemi pocałunkami, jechał za Bernardem, lub raczej puścił cugle koniowi posłusznemu i przywykłemu iść za przewodnikiem. Kilkogodzinną ta podróż w Kampanii Nadtybrowej wieki dla nich trwała. Co tam było pieszczot okrytych szatą nocy i burzy! co słów urywanych a tak wyrazu pełnych, jak serce z sercem bijąc przelewało jedno w drugie i dwoilo namiętność!

Już burza zwolna przewaliła się na przeciwną widokraż stronę i obłoki tylko rzadsze, w pół przezrocyste, rozbite, doganiały szybko przebiegając po niebie wielką chmurę z gromem i błyskawicą rozsiałą kędyś daleko — już między przerwami obłoków świeciły uśmiechające się gwiazdki, deszcz zwalniał, wicher ustawał, gdy w ostatnich odbłyśkach burzy ujrzeni nasi podróżni przed sobą maleńki nad Tybrem domek biały, obwinięty w topole, sosny (¹) laury i zieloną szatę drzew wonnych.

To była tak nazwana *Villa* artystów, letnie pomieszkowanie, puste teraz, ale na imie willi nie zasługujące. Drobny piętrowy domek nad rzeką wzniesiony w klombie drzew, na zielonych murawach — dwie kształtne kolumny wysoko unosiły jego facyatkę trójkątną.—W oknach ciemno było i Bernard przywiązawszy konia do balustrady, począł do drzwi się dobijać. Ale nie prędko stara Margareta przelekniona i niedowierzająca, odważyła się mu otworzyć.

XII.

Możnaż opisywać te dnie rajskie, które przepędził Jan w ustronnej willi u Tybrowego brzegu z Pepitą?

(¹) Pins d'Italie.

Raz w życiu człowieka, raz (lub ani razu nawet) zjawia się coś podobnego. — Wielu z ludzi mrze nie doczekawszy, starzeje bez takiej miłości. Ci ludzie są jak kwiaty, którym natura kazała wyrosnąć, tak gdzieś w cieniu głęboko, że na nie ni razu nie spojrzano słońce. I puściły listki żółte do góry i wystrzeliły szukając słońca—ojca — napróżno, i zeschnęły nie zakwitnąwszy, zmarniały. — Po co im było to życie próżnego w ciemnościach bytu? po co wysilenie na wzrost, zbieranie sił na pączek, gdy kwiatu i słońca nie miały doczekać! — Biedne kwiaty, biedni ludzie. Znam takich wielu, znam wielu. Całe życie marzyli o ideale, a nie spotkali go nigdy. A gdy nadeszła smutna, ponura jesień, gdy z rozpaczą ujrzeni zniżające się słońce życia, gdy młodość uciekla z próżnemi rękoma—niosąc tylko lzy i westchnienia — pojmięcie jeśli możecie co się z nimi działo. — Straszne nigdy! zgmiotło ich swoim ciężarem, zrospaczeni, złamani, padli płacząc po życiu próżnem i ręce drżące wyciągnęli ku niebu pytając: — Gdzie zaplata za to? dla czego drudzy, dla czego wszyscy szczęśliwsi? dla czegom ja wydziedziczony?

A świat i niebo spokojnie odpowiedziały uśmiechem—szyderstwem.—I ci ludzie zeszedli jako cienie —jeżeli im na starsze lata nie przygrzała serca myśl jaka wielka, szlachetna, coby ich z prochu podniosła i do pracy rękę podała.

Szczęśliwy Jan! Dwa ideały wcieliły się razem dla niego.—Ideał gwałtownej, wielkiej, niepohamowanej miłości i ideał marzonej kochanki. Przeczucie dziwne w snach jeszcze młodzieńczych malowało mu Pepitę.—Tęż samą kibić drobną, tęż trzcinowej giętkości ciało, tęż dwie piersi czary, tęż oczu dwoje czarnych, płomiennych, przyémionych długimi rzęsy tęż rączęta toczzone — wszystko to widział w marzeniu żądzy wprzódy, nim w rzeczywistości posiadał.—Jestże na ziemi druga chwila szczęścia tej podobna? A jeśli jeszcze dusza duszy tak odpowiada, tak wtóruje jak ciche echo doliny? jeśli serca tak biją zgodnie jak dwie arterye w człowieku? jeśli z obu stron poświęcenie zupełne bez granic, bez pamięci na jutro? jeśli zapal tak równy, że jedno drugiego nie śmiesz, że myśl nawet sprzeczna nie urodzi się nigdy w głowie; jeśli w dwu ciałach przytulonych do siebie, jedna mieszka dusza, jedno serce, jedna wola, jedna miłość; jeśli się tak zjednoczą, że sztylet coby ugodził jedno, zabije oboje— O! naówczas klęknięcie ludzie i klęcząc patrzcie na cud, na zjawisko rzadkie na ziemi, wielkie;—niestety!—nietrwale. To zjawisko jest jak zorza północna ognistym obrazem — trwającym tylko chwilę.—Spojrzenie na wilę naszą.

Ich tylko w niej dwoje—tylko dwoje, z naturą, z rzeką, z drzewy, z nocy pogodnemi i szumem kaskady—tylko dwoje w tym raju. — Dwoje było w raju Adamowym; bo więcej tam być nie może. — We dnie on siedzi pod cieniem drzew, a Pepita na jego kolanach, przytulona, zawieszona, wpiła mu się w usta, białemi otoczyła rękoma i tak często jak dziecię u piersi matki usypia. On drgnąć się boi, by jej snu nie przerwał, by uśmiechu z twarzy nie zsunął i wieczystego nie rozerwał pocałunku.—Zamyka oczy i marzy że w raju — a chłodny wiatr studzi ich, a ciepłe słońce zajrzy przez liście i ozłoci im głowy, ogrzeje. — Bo i wiatr lubi owiać taką parę cudowną i słońce ozłocić. — A w nocy księżycowe, usiądą nad Tybru brzegiem, na urwisku, i Pepita cicho coś śpiewa jemu, on rwie uściskami śpiew.—Po-

tém długo, długo wdychają tylko i milczą, nie ma bo słów przy wielkiem uczuciu, nie ma wyrazów na szczęście w języku, a mowa szydzi wówczas z człowieka.—I lepiej nie mówić. — Za światem nic im nie tęskno; gdyby nagle ziemi zabrakło pod ich nogami, a! możeby i tego nie poczuli—gdyby wszystko co ich otacza umarło, i o tem by mogli nie wiedzieć!

Czemuż tak krótko, tak chwilowo trwa tutaj wszystko? Sto jest na to odpowiedzi—najważniejsza—tak jest.—Mysmy sami jako cień co urodził się ze światła miga i ginie po chwili, spoczawszy na kwiatach, na zieleni, na wodzie lub skale, mysmysy sami *snem cienia*, powiedział grecki poeta.

Jakże im dobrze, że nie nie przerywa ciszy, spokoju pustyni? że nikt tu nie zajrzy nawet; jakże im swobodnie, jak płyną szybko dnie wycelowane, wypieszczone, szczęśliwe. — Oto słońce podniosło się i już zapada, zapadło i znowu wznosi i zachodzi.—Nieraz Jan, nieraz Pepita i bicie serca tamują i pocałunków sobie szczedzą i radziby słońcu zawołać—zaczekaj słońce—aby na jutro trochę zostawić, aby przedłużyć biegnące tak chyżo życie.—Cóż kiedy na dnie każdej ludzkiej roskoszy, jak w kielichu kwiatu, siedzi myśl robak i szepce—o jutrze! — Cóż kiedy z każdego szczęścia rodzi się postrach, obawa o to nieszczęsne jutro—i kwiat wędnieje od myśli — robaka. Kiedy wyczerpali najśodsze i najwymowniejsze milczenie, naówczas poczęły się dopiero długie, długie powolne rozmowy, któremi przelewali w piersi swoje przeszłość, któremi jednoczyli się bardziej jeszcze. I mieniali się wspomnieniami swemi.

A ona mu opowiadała, jak rosła nad rodzinną rzeką, w owym pochyłym domku, okrytym zieloną szatą winnej latorośli. Sierota, nieznała ojca ni matki, wychował ją niecny Paolo, jak ludzie chowają konie i barany, aby za nią wziąć pieniądze, aby ją sprzedać towarem. I dnie dzieciństwa były dla niej już dniami niewoli, pracy, nędzy. A gdy podrosła—gorzej jeszcze. Niewola stała się sroższą stokroć; bo Paolo zbliżał się do celu swojego, do dnia targu.—Dla niej świata tyle było co w Transtewere na jednej ciasnej uliczce, zaczynającej się mostem, kończącej niszą Madony.—I czegóż jej uczono?—Stroić się, uśmiechać—i bać.—Ale jak drzewo co rzuci ziarnem między dwa kamienie, a ziarno puści i rosnąć pocznie aż dwie bryły rozsądzi — tak ciasną izdebkę myślami rozsądziła Pepita, ona przez nią widziała przeczuciem świat cały; ona w tej ciasnocie znalazła rosę i słońce do życia i wyrosła i okryła się barwy silnemi, jak dzika winna latorośl na jesień. A im mniej mogła, tem żądza olbrzymiała, im mniej swobodna, tem goręcej pragnęła swobody. — Bez ziemi, słońca, powietrza, wykwitła płomieniem.

Naówczas Paolo zamyslił się głęboko, bo czas był pozbyć ciężaru i zapłacić sobie za długie nocy bezsenne, za długie rachuby niepewne.—Lazar go niepokoił, Lazar ranny, upadł i nie powstał z łoża; nowy niepokój.—Czas naglił, obawiał się Jana. Nastęczył mu się Andrea Maledetto i poszli w targ.—Póki nie widział dziewczyny, Andrea skąpił worka.—Marzył on wprawdzie im bardziej starzał, o młodej, cudnej piękności kochance; ale marzenie przeszła Pepita. — Kiedy drżącemu z żądzy niezaspokojonej starcowi ukazał skarb ten Paolo, zmieniło się wszystko. Andrea dawał co tamten żądał, Paolo brać nie chciał.

Maledetto na wagę złota kupił Pepitę. Ona tak była lekka! kupił ją tak tania. Łzy gorące oblewały

twarz dziewczęcia, gdy mu opisywała swój pobyt u starego bankiera. Wystawcie sobie człowieka, coby całe życie nie pił i ujrzał wodę, coby świata nie widział, i pojrzał na cuda jego. Starzec oszalał, wpadł w gorączkę żądry z której nie wychodził. Tarzał się u nóg swojego skarbu, całował ślady Pepity, oddawał jej wszystko co miał. — Ona nic nie chciała i zimno i bez litości patrzyła na niego. — Bo boleść nie umie się litować, a dusza Pepity bolała — ciężko, bolała bez przerwy.

Całe noce z włosiem najeżonym na skroni, ze spiekłą wargą, z piersią żarzącą oddechem, z usty ziejącymi ogniem, z rękoma ściśnionymi, z nabrzmiałymi sinemi żyły na skroniach, z zakrwawionymi opczyma. Maledetto u łoża nielitościwej, na gołej ziemi się tarzał. I nieraz popchnęła go nogą w rospaczy, nieraz krzyk jej budził głuche palacu milczenie, gdy zrospaczona bronila się szalonemu. A Maledetto tracił narzeczenie przytomność, pienieł i padał bez zmysłów. Długo to trwało, długo, i on przecie nie umarł. — Wielka żądza jak wielka myśl, dręczy człowieka, ale go przy życiu żelazną trzyma paszczką. Jakże słodko być jej musiało wyrwać się z tego piekła!

On jej znowu opowiadał swoje ciche, mgliste, nudne życie dawne. Wszystkie tam stare, żywe niegdy uczucia, przy terazniejszym wydawały mu się jak zblakłe suknie stare, kiedy na nie słońce wnijdzie po długiej nocy. — Cóż? młodość bez uczucia, bez pieczęci rodzicielskich, także samotna, biedna — potem długie pasma marzeń, tych jesiennych pajęczyn, co wzięte w rękę nkną i giną. Potem kochanka Emilia. Ale Emili; miłość była siostrzynem tylko przywiązaniem, bladym cieniem, marą, niczem. Miłość w sukni balowej, utrefiona, wonna, uśmiechnięta; ale za rękawiczką jej niedostała ręki, za wachlarzem ust, za suknią nie dojrzała ciała.

Piękna laleczka do postawienia na półce, zimne porcelanowe bawidełko. Może, może to zimne na pozór serce, dłużej kochać, dłużej w jedną stronę bić mogło, lecz któż kupuje długie *nie*, krótkiem *wszystkiem*? Tak mówił Jan, kiedy w spokojną noc Włoską, malował Pepicie swój kraj rodzinny. A jej po drażliwem ciałku zimny dreszcz na sam obraz chłodnego kraju przebiegał. — I jakże tam życie, mówiła, w dziedziczeni z dnia, ze słońca, z błękitu niebios i woni pomarańcz? Jakże tam życie zimą? Jak tam życie z mroźnymi sercami kobiet waszych, bez płomieni miłości, bez gorących, co na życie całe rozgrzewają, uścisków? — A Jan milczał i niewiedzieć dla czego, choć szczęśliwemu, za zimnym tęskno mu było krajem. —

— My ztąd nigdy nie wyjdziem — szeptała — O! bom ja dziecię Italii, i kocham ją jak matkę. Innę nad tę ziemię — ojczyzny nie znałam. Jęj to kwiaty kołysały mnie, jęj wonie mnie poły, jęj słońce mi wzrost dało i życie wlewało. I niemogłabym żyć pod innem niebem, gdzieby nie było płowego naszego Tybru, kochanego Rzymu o wielkich ruinach, i braci mojęj — ludu.

— Zostaniemy tu, kochana, zostaniemy tu na zawsze — do śmierci. — A gdzieś pod garstką topoli, na starem popielisku rzymskim, posypanem szczątkami potłuczonych amfor, położą nas na wieczny spoczynek, i posadzą na grobowcu dwa twoje lube drzewa pomarańczowe, i jaśmin którego gałązka miłość naszą poczęła? Nieprawdaż kochana?

— Nie mówmy o grobie, mówmy o życiu. Długo jeszcze, długo żyć będziemy. — Gdzieżby śmierć roz-

pleść chciała nasz uścisk, chłodem owiać dwa serca, co biją tak żywo?

I milczeli w uścisku. — Uścisk wszystko powiada, całą historią ludzi od stworzenia świata, całą przyszłość tajemniczą do końca. — To wielki węzeł symboliczny, co wiąże przeszłość z przyszłością, a gdy taki chłód owionie ziemię wystygłą, że kobieta odepchnie kochanka, a mąż wzdygnie się na usta kobiece — słońce zajdzie raz ostatni. I cicho, i ciemno, głucho będzie na pustej ziemi, jak było przed ludów początkiem, przed początkiem życia!

XIII.

Lud się na Corso gromadził. Po ulicy biegali ludzie. Starzec to już, obdarty, półnagi, z łysą głową, z krwawym wzrokiem, ze ściśnionymi pięściami. Na nim łachman, na łachmanach kwiaty poprzyczepiane, na skostniałych palcach pierścienie, na szyi jego łańcuch złoty, bukiet w rękę.

To Maledetto, szalony, pokutuje znowu za grzechy tajemniczej młodości swojej. A lud biega za nim ciekawie, jak w czasie karnawału za wozem Pulcinella, jak w czasie nabożeństwa za processją. Bo jemu wszystko dobre, byle wrażenie dostać, byle mu się tam w piersi czemkolwiek rozkołatało.

Ale czegoż tak szaleje Andrea?

Posłuchajcie rozmowy ludu i krzyku starca.

— Signor Andrea oszalał — powiada Milanese z ganku — ja tylko wiem dla czego?

— Dla czego Bartolo? — pyta Annunciata.

— On miał kochankę.

— Al! al! — zaśmiała się Charita, Annunciata i Madona. — Signor Maledetto kochankę? kiedyż to stare nie spruchniałe mają kochanki?

— *E vero!* — poważnie powiada Bartolo — miał kochankę. Kupił ją za wielkie pieniądze. —

— A chybaż.

— I trzymał pod kluczem.

— Naturalnie, inaczej by jęj nie miał.

— A kupił ją drogo, drogo; mówią że gdy do targu przyszło, dziewczynę postawili na jednej stronie szali, na drugiej kładli worki ze złotem, aż złoto przeważyło.

— A to złoto — spytała Annunciata — nie dla niej było?

— Nie, naturalnie że nie! dla kupca, co ją z sieroty wychował.

— *Fortunato!*

— Kupiec uciekł, Andrea zamknął swój skarbu w domu. — Ale się nim nie cieszył długo. Malarz ją malował, rozkochał, namówił i wykradł.

— A Maledetto.

— *E matto.* Oszalał. Patrzajcie! patrzajcie.

Starzec biegał ulicą i zatrzymywał z kolei przechodniów.

— Widziałeś Pepite? Tędy poszła. — Oddaj mi Pepite. — Niektórych cisnął za gardło i szamotał się z nimi, pieniec ze złości.

A chłopcy ulicznicy wykrzykiwali do koła skacząc: — O tu — o tu Pepita! O tam poszła, patrzajcie! o tam!

I Andrea rwał się na wszystkie strony. Nagle jakby siłą niewidomą pchnięty, poskoczył szalony w środek ulicy, pod koła wozu, który mułem strojnym w brząkadła zaprzężony, z wolna postępował.

— Na wozie tym wysokim o dwu kołach, strojny w oliwkową aksamitną suknię, całą nabitą guzami, siedział podżyły mężczyzna dumnej postaci.

— Paolo, Paolo! oddaj mi Pepitę, przeklęty, wszak-
żem ci za nią zapłacił, wszak zabrałeś złoto moje —
oddaj mi ją, oddaj ją!

— I tak gwałtownie uczeplił się starzec rękami za
koła wozu, tak straszliwie krzyzczyć począł, że lud
obstąpił ich, a muł w dzwonki i wstęgi strojny za-
trzymać się musiał.

— Paolo z zaiskrzonym wzrokiem, dobywał już
sztyletu, gdy przecie starca oderwano od wozu. A
Andrea łysą głową bijąc o bruk, szarpał się jeszcze
wołając:

— Pepita! Tym czasem zacięty muł krok postąpił,
ale za tłumem przejść nie mógł. — Paolo próżno wołał:

— Miejsca, miejsca — trochę miejsca! panowie! —
Nikt nie ustępował, bo ciekawość skupiała wszystkich.

I powtórnie wyrwawszy się z rąk trzymających go,
podbiegł Maledotto, z tyłu przyskoczył, za szyję Pa-
ola pochwyił, a zawisnąwszy tak, krzyczał swoje —

— Pepita! Szarpany muł począł się rzucać na
wszystkie strony i srożyć, a rozpychając skupionych,
puścił się cwałem ulicą. — Andrea ciągle wisiał ści-
skając za gardło Paola i wołając:

— Pepita! Napadnięty, napróżno chciał się bronić
sztyletem, nie mógł ręką dosięgnąć starca, który co
chwila silnie go cisnął. Już żyły powybiegały mu na
twarz, i oczy wychodziły z powiek, gdy wysilony star-
zec padł na kamienie; — a wóz poleciał dalej.

— Taka była siła szaleństwa w starcu, że pomimo
znużenia, pobiegł dalej jeszcze zawsze wołając swoje
i napadając po drodze, póki nie stracił z oczu wozu
Paola i wyczerpnawszy ostatek rospaczy, nie za-
chwał się i nie siadł pod murem.

Naówczas dziwnie zmieniło się obłąkanie jego, bo
zdalo mu się jakby był w domu, w oświetlonych sa-
lach pałacu swego i cisnął do piersi Pepitę.

— Pepita! najdroższa — mruczał. — Widzisz te
skarby, te złota stosy, te marmury i bronzы, te mi-
strzów arcydzieła. Niema w Rzymie drugiego boga-
cza jak ja. — A wszystko to twoje — wszystko. — I
powiedz tylko czego żadasz, a dam ci! choćbym miał
jak ciebie na wagę złota kupić, z antypodów spro-
wadzać. — Powiedz moja królowo. Słowo, słowecz-
ko jedno, rozkaż, a za ten pocałunek niebiański, dam
ci pół świata rozkroiwszy go na dwoje. — Zdejmę
ci księżyc z nieba i zawieszę na piersiach twoich, dam
ci słońce do pierścionka. — Kupię dla ciebie Kolo-
seum i pokryję dachem szklannym, żebyś miała gdzie
się przechadzać zimą. — O! wszystko dla ciebie mój
aniele. — Bo ty mnie kochasz, bo czuję cię na mojej
piersi. — Usypiasz! Cyt! cyt! Cicho — cicho. Nie
dzwońcie, nie jedźcie, nie gadajcie — ona śpi. — O!
na mojej piersi! Cicho — Tybr za nadto głośno szu-
mi, zasypać tę rzekę. — Słyszycie. — Myśmy oboje
młodzi, szczęśliwi — zakochani! Głupi Paolo, gdyby
on był chciał, dałbym mu był za ciebie dwoje tyle,
stokroć tyle — wszystko! — A on cię sprzedał za odro-
binę pieniędzy! — Cha! cha!

— Co za słodki pocałunek! — powtarzał, przytu-
lając się do muru. — O! Guido! Guido! nigdyś ty ta-
kiego nie odmalował aniola! Zasłońcie firanki, drzwi
pozamykajcie — jak ją zobaczą, to mi ją ukradną. —
Torlonia gotów więcej zapłacić, a bogatszy odemnie.
— Królowie i księżęta wyślą wojska swoje i zdobędą
Rzym, aby ją mieć. — O! Pepita! to Venus Medycejs-
ka żywa, usnęła na mojej piersi — to Galatea. —
Serce nie bij tak prędko, bo pęknie, a potrzeba mi
cię na jutro.

Tak szalał biedny starzec. I znowu lud skupiony

śluchał ciekawie jego nieporządną mowę, jak słu-
cha *lazzi* Pulcinella, jak czyta chciwie rozmowy
Paskina i Marforio. Tylko Annunciata jedna żyła miała
w czarnych oczach.

— *Povero!* szepnęła. — Jakże on kochał! nie, nie,
tylko szaleni tak kochać mogą. — I smutno jej się
zrobiło myśląc że nikt tak jak ten obrzydliwy starzec
kochać nie potrafi. —

— Śludzy Andrea, od dawna biegający za nim,
zbliżyli się w tej chwili ku niemu. Dał się wziąć im
spokojnie, usypiał powoli ludzaczem kołysany marze-
niem.

— Aniołku! Pepito! Spij dziecię moje — cicho! —
szeptał krzyżując ręce na piersiach, jakby ją tulił do
siebie. — Cicho!

XIV.

Jesień i zima południowych krajów, to jakby płacz
ziemi, po przeżytej młodości, po jednym uciekłym na
łono wieczności roku; — wszędzie natura ma ten pe-
ryod spoczynku smutnego, kiedy się wahać zdaje
między siłą swą twórczą, a siłą zniszczenia, aż się
przechyli znowu ku życiu. — I jak te peryody życia
ziemi, tak mienia się na świecie co chwila śmierć i
życie, dwa wyrazy jednej wielkiej księgi.

Czemuż Pepita sparta o krawędź okienka tak smu-
tnie pogląda w jesienny krajobraz; tak zadumana
czegoś, że czasem ją uścisk zbudzić nie może z ma-
rzenia? Dla czego teraz nie wystarcza jęj tego, co
wprzód przepełniało serce: — miłości i rokoszy? cze-
mu roztargniona zdaje się uchem chwytać z daleka
Rzymu głosy które tu nie dochodzą, a których żąda
podobno?

Żał bo jej miasta lubego, żał swoich twarzy i tę-
skno za szmerem ulicznym. Nie dziwno!

I mówi do Jana:

— Juanito, *carissimo!* wróćmy do Rzymu, powróc-
my. Stary Maledotto oszalał, Lazar umarł, Paolo się
wyniósł, dla czegożbyśmy na karnawał do Rzymu
wrócić nie mieli?... — Mnie tęskno za miastem mo-
jem. — Jam długo czekała w ukryciu, w zamknięciu,
żeby kiedyś swobodnie, z piośenką na ustach, szero-
kie przebiegać *Corso*, słuchać Pulcinella w jego bud-
ce na Piazza Navonna; i rozrzucać *confetti*, i pohasać
z bratem — ludem Rzymu starego. — Wróćmy *ca-
rissimo* do miasta.

— O! Pepito! — smutno odpowiedział Jan. — Ja
wszystko zrobię dla ciebie, co zechcesz tylko. —
Jakże ci moje szczęście, gdybym dał życie, wypłacić
potrafię? — Ale po co nam Rzym i oczy ludzi i gwar?
Nie lepiejże samym dwojgu, w pokoju, ustroniu —
ciszy — patrzeć sobie w oczy i całować?

— Czemuż się szczęściem nie pochlubić?

— Ja bym je rad ukrył przed wszystkiemi. —

— Dla czego? albo nie wierzysz. —

— Nie — alem skąpy.

— O! dziwaku Juanito! dziwaku. — Ty się boisz
miasta dla mnie, a przyznać nie chcesz?

Jan spuścił głowę i zamilkł.

Tak raz, i drugi i trzeci, między dwoma pocałunki
wspomniała cicho Pepita o Rzymie, i raz i drugi i
dziesiąty wyrwało jej się niewytłomaczone west-
chnienie.

Jan widział że trzeba było wybrać się im do Rzy-
mu i pięknego dnia pogodnej jesieni, ujrzeni znowu
przed sobą — Romę.

Jak dziecię plasnęła w drobne rączki Pepita i oczki
jęj się zaiskrzyły i pierś się podniosła, śmiejąc się

wskazywała palcem na wieże kościołów, ruiny i gmachy.

— Tam, tam Transtevere. A tam to P. Maryi kościół. — A tam to ark nasz zwycięzki, liter się na nim uczyłam małeńką. — A tam Colosseum. — Junanito! o jakże piękny Rzym nasz, ojczyzna moja. — Widzisz jak złociste jego mury bieleją na ciemnym niebios lazurze! —

I łzawe z radości były czarne jej oczy.

Któż bo obcy nawet bez bicia serca to miasto powitał? Cóż dopiero dla tego co jak Pepita, dzieckiem tu wyrósł ulicznym, i związał się pamięci ślubem z taką ojczyzną? Dla możnych, dla bogatych, wszędzie równo, dla nędzara co nie nie ma, najdroższym miejscem jego kraj, jego kątek, jego kupka śmieci, którą łzami przemoczył długimi. — Gdzież on tak zna jak tu porę dnia, po cieniach domostw, każdy kamień, każdy listek, prawie każde ziarno piasku? Gdzie mu twarze braci tak swojskie, tak znane choć nieznajome; tak miłe? —

I nie dziw że wjeżdżając do Rzymu—Pepita tuląc się do Jana, jak kiedy wyjeżdżała z niego—łzy miała w oczach, a łono jej podnosiło się nowem, nieznanem dotąd, niekosztowanym szczęściem? —

Bernard już wcześniej uwiadomiony, mieszkanie dla nich zamówił, w ustronnej od Corso idącej w bok uliczce; gdzie ani garkuchni, ani kościoła, ani Pulcinella, ani żadnych starożytności do oglądania nie było blisko, i mało kto zwykle przechodził.

Zwracając się na uliczkę, chciwe oko posłała Pepita ku lubemu Transtevere, ku domostwu znanemu, co się pochylało nad starym Tybrem, pokryte zieloną latoroślą winną.

Ale jej i tu dobrze było, z ukoehanym Juanitem. W małeńkim domku z małym ogródkiem, na piętrze kilka białych izdebek czekało na nich. Z okien mieszkania cudowny, a w każdą stronę inny rozwijał się widok. Ogrody, pałace, kościoły, ruiny i zielone drzewa. Uwnijścia winna latorośl rozpięta jak tam, na górze kwiaty i wszystko co kobietę zając, ubawić może.

Z początku jak myszka biegała z kąta w kątek Pepita, wszystkiem się ciesząc, dziwując wszystkiemu, skacząc do góry dziecinnie a tak wdzięcznie, że Bernard, który zawsze artysta, studyował patrząc na nią — i nie mógł wyjść z zachwytu nad wrodzonym ruchóm wdziękiem, nad snycerskimi pięknościami téj budowy z żywego marmuru.

— To anioł! to anioł! — powtarzał.

A dziewczynka słysząc to śmiała się z naiwnej radości. — I ze wszystkiem, we wszystkiem było jej do twarzy — bo w naturze jej był wdzięk niezmasany, niemogący się niczem zniszczyć — prócz wiekiem. — O! czas to wielki zbójca.

— Tutaj—wołała biegając, ustawiając, skacząc—tu będzie nasz piękny świąteczny pokój! Tu moja izdebka—tu twoja Juanito, przededrwi tylko, przez próg —

— Czemuż nie razem?

Pepita pogroziła tylko.

— A tu, mówiła dalej, kuchenka, a tu moje państwo, moje królestwo — owoce, maccaroni, oliwa, wino. Wiesz, jam wielka gospodyni Juanito! A jak mnie to bawić będzie!

I powiesiła mu się na szyi, tak że końcami paluszków ziemi tylko dotykała. Kibić jedną można było objąć ręką — a włos rozpuszczony spadając rozwity popłynął aż na podłogę. — Jan szalał, Bernard unosił

się nad malarskim wdziękiem tego kwiata z nad Tybru.

— Widziałem wiele kobiet, ale jej podobnej nigdy, nawet na obrazie! Nawet malarz nie podobnego nie stworzył.

Potem nadszedł pierwszy wieczór — samotny, ale po ciszy willi, jakże tu wesoło i ludno było dla Pepity. Do północy siedziała w oknie, a brzęk gitar, a pieśni dalekie, a głosy, zwady nawet i śmiechy, napawały ją roskoszą. I nie raz nawet drgnęła, jakby motylem zerwać się chciała i polecieć.

Jan cieszył się jej radością, jej szczęściem tak silnie objawiającem się; ale nie wiem czemu zadumał. — Czy zawsze wystarczy jej mnie? pytał siebie—czy jutro nie mało jej będzie swiata z okienka, pozajutro ulicy? dalej czy tęskno nie będzie samotnie? Czy ja, obcy, potrafię téj kochance Romy, moją miłością wystarczyć, moją rozmową ją nakarmić? Może jak dziś za Rzymem, jutro zatęskni za swemi braćmi, za ludem, i zechce ku niemu gorąca zawsze, niezwykioną, wylecieć?

W tych dumach, pierwsza mu noc w Rzymie spłynęła; ale upojony roskosznym pocałunkiem Pepity, usnął w marzeniach szczęścia niezamrocznego i zapomniawszy swych przeczuć?

A cóż są przeczucia?

To siódmym zmysłem dotknięte dalekie fantasmata przyszłości! — To polot duszy w kraj nieurodzonych jeszcze dziejów, co za drzwiami *dzisiaj*, stoją i czekają aż wynijdą przez *dzis* — w martwe *wczoraj*. Przeczucia są to uczuciami, których tylko przyuczyny zgadnąć nie możemy; — i przeczucia rozumu myślą, ale przeczucia serca nigdy.

Ptaszkiem nazajutrz z łódeczka zerwała się w koszulce tylko Pepita i biegła do okna rozspana, wołając:

— Jestem w Rzymie! jestem w Rzymie!

I rzuciła się na szyję Janowi.

— Juanito, myśmy w Rzymie — A! a! i karnawał prędko! Ja jestem w Rzymie, w Rzymie!

XV.

Karnawał w Rzymie, jak wiele innych zwyczajów, to jeszcze po pogaństwie ochrzczona tylko puścizna, resztką Saturnaljów starych — wesoła chwila życia, którejby Rzymianin, Weneta nie zamienił za nic. — Powiadają że dzisiaj zesmutniał sam karnawał i stał się poważnym, zamyślonym jak wiek nasz — ale ochłodły jest jeszcze w miarę życia naszego gorączką chwilową. Indziej, w Paryżu, rozpasane zapusty są naśladowaniem tylko, podszyciem się pod cudzy zwyczaj; tutaj one potrzebą, koniecznością. Ich się rok cały spodziewają, do nich sposobią, o nich myślą i nie jeden straciwszy na strój i *confetti* ostatki, przeszedłszy dni kilka, sam nie wie co jutro z sobą zrobi. — Ale kto myśli o jutrze? —

Jak szerokie Corso, tak pełne ludu, budek, powozów, zgiełku, gwaru, muzyki, pieśni, śmiechu, masek i wesela.

Z balkonów wiszą bogate kobierce, dywanami wysłane okna, a i balkony, okna i drzwi pełne ludu, zapchane głowami, zamaskowanymi, bez masek, strojnymi, poprzebieranymi. — Skończyły się wyścigi, teraz co żyje zsunęło się na Corso i szaleje. Po pod domy to budki Pulcinella, to stragany, rusztowania, namioty. — Tam wiszą suknie i maski, ówdzie sprzedają cukierki i maccaroni. — Krzyki nieeforne rozlegają się w powietrzu, pomieszane z kół skrzypieniem,

z głosami woźnic i piszczącymi wezwaniami przejeżdżających. Nie ma tu pana i sługi, bogacza i ubogiego — nie ma różnicy stanów, dostojęstwa, wieku — wszystko co żyje oszalało zarówno. Jedni w górze, drudzy w dole, ci stojąc, ci biegnąc zaczepiają się, śmieją, witają, żartują. Powozy zatrzymują piesi, pieszych drażnią siedzący na balkonach. Z wysokich wozów i okien syją się białe pociski, i ziemia niemi usłana, aż chrupią pod nogami. — Lud ciśnie się do ukochanego Pulcinella, który cugle sobie puścił, i *porporatym* nawet nie bardzo przebacza, gdy przycinać pocznie.

Najpocieszniejsi w tym tłumie są obcy, podróżni, a zwłaszcza Anglicy, którzy z właściwą sobie flegmą i powagą, puszczaają się w różnobarwny tłum, nie bacząc na to, co ich tam czeka. Cóż to za rozkosz dla wesołych Rzymian, gdy schwyca między siebie herezyka, jak go zowią, i poczną mu dogryzać wszelkimi sposoby. Cały naówczas karnawał skupia się podle jednego powozu i goni za nim z końca w koniec ulicy. Gniew, groźby, razy zwiększają tylko szaleństwo.

Oto posuwają się wozy, otwarte, strojne, tak strojne, że i koniom się dostało nawet lub mułom; na nich w półmaseczkach kobiety, mężczyźni, dzieci. — Jedni najdziwniejsze przybrali stroje, które nie należą do żadnego kraju, żadnej narodowości; drudzy świąteczne tylko pobrali ubiory. — Huk, stukot, krzyk, a najwięcej śmiechu; czasem tylko zabrzmi wyżej wszystkiego kłótnia, ale prędko ucichnie.

Zajrzyj naówczas na boczne ulicę, do domostw, a nikogo tam chyba starych znajdziesz paralytyków. Na jeden, dwa, trzy dni nie zajrzy do domu, aż wystrzał działowy oznajmi koniec szalonemu karnawałowi. Naówczas wszystko jakby zamarło, ustaje krzyk, śmiech, wesele i każdy powraca milczący, znużony.

Lecz póki grzmi Corso pod kopyty końskimi i trzepiotaniem się tłumy — pusto namiesicie, po domach pusto i głucho. Cały dzień tutaj, noc tutaj całą spędzają, tu jedzą, tu spoczywają, jeśli spoczynkiem nazwać można że staną na jednej nodze przed budką Pulcinella — tu czekają niemilego rozczarowującego wystrzału.

Spójrz z góry w ten błyszczący, różnobarwny, miotający się tłum! Jak na dnie morza pod siną falą, tak tu, co tajemnic, co dziwnych spotkań, co miłosnych schadzek, co dramatów niedocieczonych. Ile rąk ścisnęło się niepostrzeżenie, ile żon fala porwała od mężów, ilu kochanków znikło w ruchawych massach tłoczącego się ludu.

Nam zimnym innego nieba mieszkańcom, nam wygnanym pod białą zmarzłą suknię śmierci, która pół roku nasze pola okrywa, to szaleństwo kilkodniowe niepojęte, chorobliwe się zdaje. Lecz tam! to życia potrzeba, wszak nic zwyczajny wypędzić nawet z pod wrót Watykanu nie mogło?

A gdy zawre Rzym i jednym wielkim, pijanym odzwie się głosem; jak w zwierzęciu drżą *unisono* wszystkie żyły i biją arterye, tak drżą tutaj wszyscy zgodnie i lecą ku sobie z jedną myślą, jedną żądzą — zabawy, szału. Gniewy, zemsty, projekta, prace, wszystko z suknią codzienną zawieszono na kołku. Żywo, żywo do szopki tandeciarza; arlekin na suknię na plecy, maskę na twarz i plusk w wodę! — Czemuż w tem krwawem życiu naszym, w posępnej drodze po której stąpamy myślami obładowani, nie wytchnąć choć raz?

Gdy Rzym się z myślą karnawału budzi, dzieci jego spać już nie mogą. — A Pepita była rodzenem Ro-

my dziecięciem, tem więcéj żeinnej matki, innego ojca nie znała, że się hodowała w ulicy, jak dziki bluszcz na zwaliskach.

Nie dziw więc że serce jój zabiło w piersi tak silnie, tak żywo, tak wyłączenie tem weselem bezprzyczynem, nakazanem przez zwyczaj, iż od serca zawróciła się główka. O Janie, o miłości, o wszystkim zapomniała; i była z nią jak z dzikiem zwierzęciem, które długo chowane na ustroni zobaczy las, posłyszysz głosy wolnej dzicy, pozna woń puszczy i rzuca się ku niej, ku swoim. Niepodobna ją było utrzymać, uprosić. — Jan, którego tylko ciekawość wiodła, nie podzielał jój zapału. Owszem, jak się to najczęściej dzieje, uczuł usposobionym przeciwnie. — Ona ani tego pojmowała, ani wiedzieć chciała. — Na Corso! wołała, — na Corso! Juanito! *carissimo!* umrę! na Corso. — I im wyraźniej, huczniej dochodził ją krzyk tłumy, tem rwała się z większą rozpaczą, O! trzeba ją widzieć było naówczas, piękną, zarumienioną wzruszeniem, z zaiskrzonymi wielkimi oczyma, całą drżącą rozdrażnieniem, miotającą się w prawo, w lewo, przypadającą do okien, wyglądającą w ulicę, lękającą się żeby niespodziewany wystrzał działowy nie pozbawił nagle karnawału. — Ubierając się, spiesząc, darła na sobie sukienki, kładła je naprzód sznurówką, potem obracała, mięła, szarpała, padając od śmiechu. A mimo to, gdy narzucony niedbale, szybko strój okrył jój kibic posągu, była zachwycająca. Żaden bo ubiór popsuć nie mógł kształtów marmurowych cudownych! — Ubrana czarno, w króciuchnej spódniczce z pod której patrzyła nóżka małeńka, w gorseciku aksamitnym, mantylli narzuconej niedbale, pół maseczce czarnej; stała już w progu oczekując Jana, uchem i okiem gdzieś już uciekła daleko.

Bernard i Antoni towarzyszyli Janowi i Pepicie. — Ale jakże zimni się wydawali obok Rzymianki i jój braci — jak im trudno odpowiedzieć było na te *lazzi* na które Włosi pół słówkiem, gestem, uśmiechem, mrużeniem, temi dodatki niepochwycionymi, które każdy kraj rodzi sobie właściwe — zęcnie i żywo odpowiadali. — Długo samotnej, zamkniętej Pepicie, wezbrała dusza weselem. — Była téż jak szalona i wszystkich oczy zwracać musiała, naprzód postacią nieporównanej piękności, potem wesołością niepomowaną. Twarzy, po postaci, po głosie, łatwo się było domyślić — i na wpół z pod maseczki różowa jój bródka, koralowe uśmiechały się usteczka.

Na Corso trudno się towarzyszom zbiedz z nią, zastósować do niej było. Zastanawiała się u każdej szopki Pulcinella, i brała od śmiechu za boki, kupowała *confetti* co krok i wysypywała co minuta; jadła, piła, zaczepiała przechodzących tak, że nie nastrojeni do tego dziwnego ruchu nasi panowie, z największą trudnością potrafiliby się z nią zrównać.

Koło pałacu Maledetty, ścisnęła silnie rękę Jana Pepita i spojrzała nań prawie z postrachem. Na chwilę zesmutniała, zlekła się, ale wkrótce przemógł karnawał. — A pałac Maledetty dziwnie bo się wydawał!! Ze wszystkich jego okien zlociste sływały makaty, balkon strojny był w kobierce, wetęgi, galony — świeciło się z wnętrza pożarem świec. Tłum cisnął się i wyciskał ze wachodów.

— Cóż mu się stało? — zastanawiając się mówiła ciekawa dziewczyna, podnosząc oczy do góry. — Chyba to nie jego już pałac?

I podeszli ku stróżowi, który wpół pijany szarpał się w bramie z pijanymi zupełnie przyjaciółmi.

— Signor Maledetto? spytała.
 — A! a! Signor Andrea! na górzel! jest! przyjmuj! wielka uczta i wesele.
 — Wszakżem w masce, — rozdrażniona zawołała Pepita (kto wie czy nie gniew ją opanował za tak rychłe zapomnienie) chodźmy!
 — Dokąd? nie wierząc swym uszom zapytał Jan.
 — Na górę!
 — Pepito!
 — Chodźmy!
 — Co za myśl?
 — Nie pozna mnie, jestem w masce.
 — Ale po cóż?
 — O! chcę go zobaczyć, koniecznie! koniecznie! chodźmy!

I pociągnęła za sobą uparta Jana i dwóch jego towarzyszy. — Na szerokich marmurowych wschodach śmiejący się przewalał tłum masek, które wychodziły i wchodziły. U drzwi stało dwóch paradnie przybranych hajduków. Pepita osłupiała.

— Patrzajcie, rzekła, co się skąpcowi stało?
 Było się czemu dziwić, bo dom nie do poznania się zmienił. Wszystko było odświeżone, lśniące, bogate, wytworne. Tłum ludzi stał w przedpokoju. Sale oświetlone tysiącem świec, czerniły się i pstrzyły ogromną liczbą gości. A po nad głowy masek, w strumieniach światła, jak urocz fantasmata poglądały ze złotych ram mistrzowskie płótna Rafaelów, Giuliów, Dominichina, del Sarto, Guida, Ticiano i Albano. — Z zielni, z kwiatów i liści białe marmury tu i owdzie wyzierały wdzięcznie, jak bóstwa zgasłego świata, chcące się nowemu przypatrzeć.

Ten długi szereg salonów przybranych wytwornie, zachwycający widok przedstawiał. — Ale oczy Pepity olśniewione blaskami, zdumione, szukały dotąd napróżno Maledetty.

— Chodźmy, chodźmy dalej — mówiła, przeciskając się przez tłum — dalej! dalej!

I rozsadzając sobą napływ wesołych gości, posuwali się oglądając na wszystkie strony, ku znanemu gabinetowi. — Wszystko tu było nie do poznania. Drzwi pokoju tego purpurowa osłaniała ze złotemi frezłami, sznury i kutasy firanka. Po za nią jak w ramach obrazu, widać było gospodarza. — Łysy starzec sparaliżowany na w pół, z krwią zawsze nabiegłym okiem, siedział w bogatym krześle, ubrany jak do ślubu. Białą na nim jedwabną strój, świecący od brylantów i złota, ogromny bukiet u piersi. Dwóch czy trzech ludzi zwiłali się koło niego z bukietami także.

— Coż to? żeni się Maledetto? — zawoła Pepita.
 I zbliżyli się. Stary szepleniąc chropawo gadał z bliźszymi.

— Kupiłem ją u Paola Transteveranina na wagę złota! Dziś ślub mój! nie chcę go dłużej odkładać, zapusty. Ale czemuż narzeczona nie przychodzi? — I głośno dodał zwracając ku drzwiom:

— Pepita! Pepita!
 Pepicie nogi zadrżały i przycisnęła się do Jana, zdało się sen straszliwy.

— Chodźmy — szepnął jej Jan, któremu zimny pot zalewał czoło.

— Pepita! — powtórzył błagającym głosem starzec. I rozwiesił na zeszlętych rękach naszyjnik ametystowy, leżący z innemi błyskotki na marmurowym stole.

— Chodź Pepita! To naszyjnik na biały twój karczek, to kolce do różowych uszek twoich, to pierścienie ślubne. A! a! czy zapis przedślubny gotów?

Czarno ubrany jegomość podsunął się ku Maledecie z papierem wstążkami powiązanym.

A! dobrze; ale gdzie Pepita.
 I zwrócił oczy krwawe na drzwi. — Wszak dziś ślub i wszystko gotowe?

— Wszystko.
 — A Pepita?

— Oto ona! to ona! — zawołało kilka głosów.
 Pepita wspięła się z biciem serca na paluszki i spojrziała. Z drugiego pokoju wybiegła dziewczeczka trochę do niej z daleka z postawy podobna, strojna w bieli, w kwiatki, z maseczką na twarzy.

Ale jakże daleko jej było do Pepity! — Ani tej giętkiej, wysmukłej kibici, ani tych dziewczyczych nie miała kształtów. Z pod fałdzistej spódniczki wyglądała nóżka daleko większa i niezgrabna, ręce do łokci obnażone, wydawały więcej niż lat szesnaście.

Starzec porwał się z krzesła, posunąć chciał, spał o stół i oczy otworzył.

— Ale to nie Pepita! — zawołał.
 — Pepita — powtórzyło kilka głosów w uszy jemu.
 — O! nie! nie! to nie ona!

Maska zbliżyła się ku starcowi, on ją niespokojnym ozierał okiem. — To nie jój kibici! nie jój ręce! to nie ona! Gdzież Pepita?

Napróżno szeptali mu coś w uszy otaczający, on zgarnął naszyjniki, bransolety i pierścienie i poprawiając bukiet u piersi rzekł: — Czekać będę!

I wzgardliwie odwrócił się od przybyłej.
 Jan uczył pod ręką jak serce Pepity biło.

— Chodźmy — rzekł.
 — Poczekajmy jeszcze.
 I stali.

Stary Maledetto co chwila się ku drzwiom odwracał, a ile razy spotkał stojącą jeszcze w ślubnych strojach maskę, tyle razy pomrukiwał:

— To nie ona! chcą mnie oszukać. — Bankier Torlonia chce za mnie wydać córkę swoją! Wie że mam najpiękniejszy pałac, najdroższe obrazy, najwięcej złota. Ale napróżno! Ja chcę Pepity! Ona przyjdzie poszła tylko na przechadzkę z malarzem Francuzem, ale mi mówiła że powróci. Wszak karnawał jeszcze się nie skończył?

Otaczający głową mu potakiwali tylko.
 — To nie Pepita! To nie jój kibici, nie jój ręce! A! Paolo, nie wiedziałeś coś przedawał!

W tej chwili wysoki bogato strojny mężczyzna wychylił się z tłumu ku Andrea. — Pepita go poznała, to był Paolo, i choć zamaskowany, dla niej łatwo go było poznać.

— Chodźmy — zawołała do Jana.
 Na to jedno jój słowo, Paolo zwrócił się, poszukał oczyma i zastanowił na Pepicie. — Oni już się wysuwali — on okiem ich gonil.

Nad tłum wyrosła głowa Paola, i bojaźliwie zwracająca za siebie wejrzenie dziewczyna, którą Jan unosił, długo jeszcze przestraszające to zjawisko za sobą widziała.

Długo na wschodach nawet, aksamitny tok jego ukazywał się z warstw ściśnionego tłumu. — A Pepita przytulając się do Jana pospieszała.

Już byli w ulicy. — Odetchnęła — obejrzy się — Paolo za nią. — Wmieszana w tłum, oglądając się bojaźliwie Pepita szeptała na ucho towarzyszom:

— Uciekajmy! uciekajmy!
 Ale napróżno mieszają się w gromadki masek, próżno zwracają, zakręcają, idą i powracają. — Paolo ściga ich wszędzie. Choć się nie zbliżył do nich jeszcze,

Pepita czuje spojrzenie jego na sobie, ciężące nad nią całym brzemieniem biednej przyszłości, zdające się grozić na jutro.

— Chodźmy! chodźmy! — wołała Pepita i coraz szybciej, coraz szybciej pędzi przez Corso, ciągnąc za sobą Jana; leca, rozbijają tłum, i zadyszani znajdują się w drugim końcu długiej ulicy.

XVI.

Zatrzymała się w budce cukiernika i przypadła na rogu próżnej ławki. Pepita tak była przejęta widokiem starca i Paola, że drżała i słabła, pochyliła głowę na ramię Jana, zamknęła oczy a dłonią cisnęła serce. Techną nie mogła.

— Wracajmy do domu—szeptał do niej Jan powolnie—po co było wyrwać się?

— Po co? — odpowiedziała nagle, zarumienioną twarz podnosząc—a któż wytrwa w czterech ścianach niewoli, gdy Rzym karnawałuje i szali? dla czego-bym ja jedna miała być wydziedziczona?

— Widzisz co cię to kosztuje!

— A! trochę wzruszenia, trochę strachu.

I wlepiła oczy w otwór namiotu, którym głowa jakieś maski dwójgiem palnych oczu patrzyła. Zdawało jej się że to znowu Paolo; ale zjawisko znikło.

Drugie wystąpiło natychmiast. Był to młody dwudziesto może letni Transteveranin, malowniczy strój włoski go okrywał, strój odświętny, cały od błyskotek, aksamitu, guzów i jedwabnych chustek—mężkiej postawy, baczysty, ogorzały, z kruczym włosiem, czarnem okiem, rumianym policzkiem, znamionami siły i energii; piękny był i zdawał się stworzony na wzór młodzieńca dla malarza.

Pepita zmierzyla go okiem, on ją. — Ale w chwili gdy zabierał się do rozmowy, już Jan pochwyił kochankę i wyszli z szopki cukiernika.

Młody Transteveranin pogonił za nimi, Pepita kilka razy obejrzała się na niego. Przeszli wrzące jeszcze Corso — bo nikt tej nocy rokosznej snem okradać nie myślał. Pepita, gdy przyszło zawrócić do domu, tęskno obejrzała się za siebie.

— Juanito—rzekła, wróćmy na Corso.

— A Paolo?

Dziewczyna wzdrygnęła się.

— Masz sztylet żeby innie od niego obronić.

— Lecz ten zgiełk, — ozwał się ciszej Jan — ta wrzawa, czyż tak długo bawić cię mogą?

— O! jam Rzymianka, odpowiedziała, tobie tylko wolno wątpić o tem.

I nagrodziła mu pocałunkiem.

— Jeżeli chcesz powrócić—smutnie rzekł Jan.

— Nie, nie, do domu, do domu! — I pospiesznie nie oglądając się już za siebie pobiegła. Ale wróciwszy do domu siadła w oknie i łapała chciwie oddalony gwar.

Jan padał z nudy i zmęczenia. Pierwszy to raz nie zgodzili się na jedno, pierwszy raz może w obu sercach lodowate przecucie nietrwałości związku powstać musiało.

— A możesz to być! — mówił Jan w duszy — postradać ją, to życie postradać! — Nigdy — przedźj umrę. — Niech robi co chce — niech szaleje, niech — — ja jej nie opuszczę. Wolałbym ją skalaną, niż straconą.

I Pepita mówiła w sobie:

— Juanito! nigdy go nie opuszczę — nigdy — jemu to nudnem, ja więcj nie pójdę na Corso. — Ja wytrzymam! o! dla niego wszystko mi będzie łatwem.

— I zbliżywszy się douśpionego jak niegdyś w oknie, złożyła drżący pocałunek na czole. Jan się obudził i w uściskach serdecznych, w szeptach miłosnych, Pepita zapomniała karnawału, zaśnęła nie podsluchując jak Corso gadało i śpiewało.

Nazajutrz rano — ten sam szum, gwar i śpiewy, też same zabawy — ulica bieli się od wapiennych pocałunków, czernieje od ludu, dzwonów nie słychać za wrzaskiem. — Pepita już wyjść się nie napiera.

Jan dwakroć chce ją wywieść, dwakroć odmawia mu — siedzi w oknie, słucha, rumieni się — cierpi biedna. — A pod oknem przeszedł raz, — dwa, trzy razy, młody, hoży Transteveranin. — I Pepita mimowolnie pomyślała:

— Jakby to miło spartej na rękę jego przebiegać szalonej, wesołej. ulice. Jan zbyt się o mnie lęka. Miłość jego trwożliwa, płacziwa, jakaś nie nasza. O! ale ja go kocham — dodała.

I tak dzień cały zszedł w oknie.

Wieczorem srebrzysta luna weszła nad stary Rzym. pozapałaly się kolorowe latarnie, zażęgły okna pałaców i fontanny odbijając tysiące światel, zda się złoćmi padały kroplami. Woń wiosennego wieczoru napędziła powietrze. — Okno było otwarte, a fale niesły daleko najlżejszy głos po rosie nocnej, z wiatrem wieczoru. — Jan usnął, ale Pepicie nie sen był na oczach. Serce jej się rwało tam, do swoich. — A piosenka dochodząca do ucha krwią jej oblewała twarz.

Dwa razy znowu Transteveranin z gitarą na plecach, przeszedł pod oknem, i zastanowił się, spojrzął, położył na sercu rękę, jakby chciał coś powiedzieć. — Pepita nie uciekła, tylko się zarumieniła, tylko się odwróciła, potem spojrzęła, zwróciła jeszcze, jeszcze rzuciła okiem. Odniosła wielkie nad sobą zwycięstwo; Jan spał — Corso szumiło! Noc była cudowna!

Pepita zaczęła płakać, potem modlić się, potem szarpać suknię na sobie, rzuciła się na łóżko, twarzą w poduszki, zakryła uszy. — Nic nie pomogło, karnawał w duszy jej odzywał się, miotał, tańcował.

Pod oknem brzmiała gitara znowu. I długo, długo nie ruszała się wyjrząc Pepita, aż nareszcie zmożona walką wyszła do okna.

O! inna zupełnie. Twarz jej gorzała, oczy się paliły, pierś poruszała, widać było jak silnie ciągnie ją tam uludny pozor wesela.

Transteveranin śpiewał — Pepita słuchała i jeszcze raz odeszła od okna, przycisnęła się do Jana, jakby u niego szukała obrony przeciw sobie samej. — Jan spał. — A noc była tak cudowna, tak wesoła, tak jasna, tak wiosenna, a w dali ginał odchodzący śpiew.

Dziewczyna wyjrzała za odchodzącym — westchnęła, podparła się i płakała znowu. W takiej to walce spłynęła noc długa, noc bolesna; a nad ranem dopiero, złamana, znużona, z czerwonymi oczyma usnęła Pepita. — Sny jej powiodły duszę na białych niosąc skrzydełkach — na Transtevere, na Corso — i widziała w marzeniu dwóch obok siebie, Jana i — nieznajomego. — Jan czasem jej nikł z oczów, tamten nigdy.

Rano — spokojniejszą się znalazła, a wspomniawszy na noc burzliwą, wstydziła się jej przed sobą, mówiła w duszy: — Byłam upojona, byłam niewdzięczna. Za tyle miłości, jam mu wahaniem, ja mu chłodem już płaciłam. O! *Infama!* — wołała w sobie — *Infama!*

Miłość wróciła, ale nie wesołość — Jan się dręczył nią, ona sobą. I było w niej coś jakby niewierności przecucie, jakby lży za niepopelnionym jeszcze, a już przewidzianym grzechem.

Tak długi dzień płynął—a karnawał trwał jeszcze, jeszcze z *Castel S. Angelo*, działo nie zabiło wesołości Rzymian, Pulcinello dokazywał, szastały się piękne Rzymianki i *confetti* latały.

Nadszedł wieczór, nadeszła noc—Pepita nie chciała wyjść w ulicę.—Nie, nie, — mówiła Janowi — nie chcę, samój mnie nie puścisz, a z tobą? Na cóż cię mam męczyć?

Jan spędziwszy wieczór z Antonim i Bernardem, wcześniej poszedł spoczywać.—Ale nie Pepicie spać! Znowu otworzyła okno i patrzy i słucha.—Wczorajszy młodzian mignął uliczką, śmielszy już, pewniejszy siebie, posłał jej pocałunek. Pepita cofnęła się—zajrzy —on stoi jeszcze.

— Co za odwaga!—pomyślała. I odwróciła się ni by gniewna. A serce bije jej a bije za karnawałem. I im bliższa godzina kończąca ten szal zapustny, tem Pepita więcej cierpi, gwałtowniej serce jej bije, w głowie krew uderza, ćmi się w oczach. Walczyła z sobą—naprawdę.—Oszalona, chwyta strój leżący przy niej, zawiązuje maseczkę.

Obejrzała się na Jana—on śpi.

Wybiegła!

XVII.

Lucio, młody Transteveranin czatował w rogu ulicy — jak cień czarny mknęła przed nim dziewczyna na skrzydełkach się niosąc ku ludowi, ku tej upragnionej fali, której była kropelką.

Tu jej dopiero swobodnie, jest czem tętnąc piersią całą, nikt kroku nie wstrzymuje, nikt za nią nie idzie —sama wolna.—Pierwszy to raz tak rokosznie, królewsko, uczuła się sobą—swobodną. I któż opisze jak szybko, jak rześko, drobnymi scigała nóżkami, łapiąc przechodniów, gząc się z braćmi, śmiejąc na gardło całe; stając u szopek, przyskakując do wozów.

W pół ulicy ktoś ją pochwycił za rękę.

— Pepita!—rzekł cicho.

Poznała go po głosie, to śpiewak wczorajszy — i wyrwała mu się dając. — Ale on nie opuścił jej — gwał za nią.

— Pepita, słówko.

— Ani słowa.

— Dla czegożes dla mnie tak okrutna?

— O! — było odpowiedzią całą, ale śmiech towarzyszący, przymuszony, suchy, zdradzał niepokój, na którym łatwo się było poznać.

— *Adorata!* słówko tylko.

— W swoją drogę.

I tak biegła dalej, ale po chwili obejrzała się jednak. — Lucio siedł za nią. Minęła już pałac *Maledetty*. — Dziś ciemno tu było w oknach i pusto. Zastanowiła się u wrót pobocznych i spytała stróża:

— *Maledetto!*

— Umarł.—Sucho odpowiedział stary sługa.

— Kiedy?

— Wczoraj w nocy. Ożenił się i umarł.—Dom jak widziecie opieczętowany, a ciało na katafalku, dla tego okna zasłonięte i ciemno w pałacu.

Litość ścisnęła za serce *Pepite*.—Pomyślała ile razy całował jej nogi, ile razy tarzał się odepchnięty, jak zmarł z miłości. Stała i łza zakręciła się w jej czarownym oku.

— *Povero!*—zawołała, i karnawał znikł z jej oczów. Zawróciła się, weszła w bramę, przebyła schody na których dwie tylko lampy smutnie gorzały przy czarnym suknie z trupa głową i żegnając się, trwożliwie otwartymi szeroko drzwiami, wcisnęła do pustej zu-

pełnie sali.—Obnażona ze wszelkich ozdób, okna zawieszona kirem z trupiemi głowy, pusta.—W pośrodku wzniesiony katafalk, otoczony świecami i lampy, na nim wedle zwyczaju włoskiego, umarły odkryty, we wczorajszym ślubnym stroju, z bukietem u boku. —*Pepita* szczerze płakała; jej doprawdy żal było *Maledetty*. U podnóża katafalku dwóch kapników smutnie w milczeniu czuwali. A było coś strasznego w tym obrazie śmierci i pustyni, gdzie dwóch tylko w czarnych sukniach starców z osłoniętymi twarzami drzemali—w obec szalonego karnawału czwałującego pod oknami.

Pepita ukłękła i poczęła *Ave Maria* za duszę nie szczęśliwego *Andrea* — potem wzięła gałąz bukszpanową i pokropiła ciało wedle zwyczaju.

Na pustych wschodach stał *Lucio*.

— A, i tu!

— I tu! i wszędzie, *adorata mia!*

— Porzuć mnie, to daremne, twoją być nie mogę!

— Będziesz—*Pepita*.

Dziewczyna obejrzała się na zuchwałego, który mówiąc te słowa uśmiechał się wpół trwożliwie, wpół zwycięsko.

Szybko zbiegła ze wschodów, on za nią, i lży oschły pod gorącym oddechem karnawału; tylko serce biło jeszcze tą trwożą, którą nas nabawia widok niespodziewany śmierci.

Na niedługo — niestety—obrazy rokoszne, straszne, wielkie, wszystko się w kolei maluje na mózgu i ściera z niego jedno drugim, jak na fali maluje się lazur niebios i chmura, słońce i piórun.

Pepita biegła chyżo, znowu się śmiejąc—niekiedy obejrzała, *Lucio*, niezbyty *Lucio* był tuż za nią. Niekiedy pomyślała o *Janie*. Nuż się obudzi, postrzeże że mnie nie ma — biedny *Jan*. — Ale powrócę zaraz, powrócę prędko.—I odkładając tak powrót od chwili do chwili, niewracała jednak ku domowi. Szła dalej —spoczywała, oglądała się.—Noc tak była piękna, a karnawał wesół i pusty jakby na sam ostatek wszystką swą zachował siłę. I tak prędko miał się skończyć.

Kilka razy *Jan* przyszedł jej na myśl, aż nareszcie jak natrętne widziadło odepchnęła go dziewczyna. A *Lucio* był tuż — tuż. Gdy tak chwilę spoczywa na kamienną ławce, otoczona ruchawym tłumem, stanął przed nią—*Paolo*.

Zadrzała, chciała się zerwać, uciekać, ale widząc że tem by się wydała — została. Ostrożnie zbliżył się *Paolo*.—Zimny pot oblał *Pepite*—popatrzyła czy blisko był *Lucio*.

Transteveranin z ręką na szytylecie stał tuż.

— *Lucio*,—cichym głosem zawołała *Pepita*—*Lucio*. — Jednym skokiem, stanął przy niej. Ręce ich mimowolnie się splotły. Jej ze strachem, jemu z miłością.

Paolo chwycił za drugą rękę.

— *Lucio, Lucio*, broń mnie!—usuwając się wołała.

Transteveranin zastąpił ją sobą i dwa groźne wzroki się spotkały.

— *Pepita!*—grzmiąco zakrzyczał *Paolo*—do mnie! Precz ty gachu!

Ledwie tych słów domawiał, już pięść ścisnięta *Lucia*, uderzyła go między oczy. W mgnieniu oka stanęli do walki zajadli. Płaszczce zarzucili na ręce, sztylety błysnęły i sparli się w ciasnych wrotach. Tłum się rozstąpił. Była to rzecz nadto pospolita i wedle wyobrażeń ludu nadto słuszna, aby ich kto pomyślał rozbijać.

— *Avanti!* zbóju—zakrzyczał *Lucio*.

Paolo ani zrzeczności ani siły Lucia nie miał, napróżno wyuczonymi razy starał się przeciwnika pokonać — kilkakroć ranny, cofać się nareszcie począł. Nikt nie myślał przyjść w obronie, na próżno się oglądał. Lucio, coraz gniewu nabierając w walce, draśnięty i rozdrażniony, że mu Pepita ująć mogła, którą za pewną zdobycz uważał, nastawał na Paola, nareszcie do ściany przyciśnięty, zabierał się go ranić śmiertelnie, gdy niespodziewanie usłiznął i pochylił.

Paolo zamiast korzystać z trafu, wymknął się i zniknął w ulicy.

W mgnieniu oka Lucio skoczył za nim ale go już nie dojrzał; nie dojrzał także Pepity. Jój nie było.

Korzystając z bitwy, przerażona widokiem Paola, który jój młodość nędzy i ucisku przypominał, poleciała ku domowi.

Pierwszą myślą Lucia było jój szukać w tłumie, drugą dopiero biedz śladem w ustronną uliczkę.

A czas uchodził. Pepita biegła szybko, nie widząc już nic w koło siebie, prosto do drzwi domku. Zawracała się w uliczkę gdy zadyszany Transteveranin dopędził uciekającą i za rękę pochwycił, śmiało teraz, silnie, jak swoją. — Wszakże się już bił za nią.

— Puść mnie, puść — zawołała.

— O! nie, chodź ze mną na Corso. Twój Paolo uciekł, na Corso!

— Puść mnie!

— Pepita! chwilę.

— Ani pół — z zwrastającą trwogą odrzekła dziewczyna — czekają na mnie, jam zgubiona.

I rzuciła się znowu, napróżno. Lucio tak silnie ujął ją wpół, tak namiętnie pochwycił i zawisł na ustach, że Pepita straciła przytomność.

* * *

Wystrzał z Castel S. Angelo oznajmował koniec karnawału. Pepita zęgnęła się pobożnie, kołysana na kolanach Lucia, w małej izdebce za Tybrem.

XVIII.

Któż opisze podziwienie, przestрах, a potem rozpacz Jana, gdy zbudzony w nocy, swój najdroższy Pepity nie zastał.

Szukał jój niespokojny, oblakany, i nie znajdując nigdzie, spodziewał się ciągle, potem czekał, czekał długo, napróżno a uporczywie — potem płakał i łamał ręce z rozpaczą, biegając szalony, wysyłając, płacąc daremnie.

Pepita już kochała Lucia.

Zdziwienie się zapewne. Nie dziwcie — wielkie namiętności są jak ognie wielkie, świecą bardzo, ale gasną prędko. W jego sercu, stałem sercu człowieka, co się nie wyczerpał, a przywiązania na inny przedmiot przenieść nie umiał; daleko było jeszcze do końca. Dla Pepity martwa ta miłość, łzawa, spokojna i smutna, długo wystarczyć nie mogła. I żał jój było z początku Jana, dwie nocy płakała po nim po cichu, potem wdychała tylko, potem myślała, wspominała niekiedy. — Lucio dla niej przysłał lepiej, życie jego było jój życiem dawnym, przyrodzonym, pełnym pracy, znoju, niebezpieczeństw, ale pełnym silnych wzruszeń i niebieskich roskoszy. Ona się zrodziła do tego życia.

A Jan? — on pojąć nie mógł w początku, jak stratę Pepity przeżyje. — Wspomnienie cudnej dziewczynki jadło mu serce, obrazy życia w *willi* nad Tybrem przesuwały się mu nieustannie przed oczyma. I powtarzał — Niech będzie skalana a moja!

Ale trudno mu było ją wynaleźć. Nie pojmował nawet co się z nią stać mogło. — Porwał ją Paolo czy kto inny? Najdziwniejsze przez myśl przechodziły mu przypuszczenia; podejrzewał nawet najniewinniejszych Bernarda i Antoniego. Oni się litowali nad nim, ale Bernard powiadał że się tego spodziewał.

— Jak chciałeś, mówił, długo być tak szczęśliwym? To niepodobna, to nie ludzka — byłbyś się rozczarował, dziękuj losowi. — Ona niewinna, z jój ognistym sercem, jak długo pozostać przykutą do jednego?

Ale podobne pocięchy i rozumowania nie pocieszały Jana. Dziewczę z czarnymi oczyma, z tą kibicią posągą, z wejrzeniem osłonięciem ciemną rzęsą, z usniechem ukoronowanym białymi ząbkami; stało mu w myśli, biło w sercu. Płakał we śnie i zrywał się za marzeniem, które mu ją przedstawiało.

A z całego tego dramatu roskosznego jak marzenie — pozostała tylko gałązka jaśminu zeschłego, i suknia czarna Pepity, rozdarta pierwszego wieczora.

Zawsze w nadziei jeszcze że ją spotka, znajdzie, lub choćby zobaczy — Jan nie chciał Rzymu opuszczać; nieustannie błądził po Transtevere, suwał się pod oknami starego domostwa Paola — chodził pod obraz Madony, gdzie pierwszy raz z nią rozmawiał.

Napróżno — długo napróżno.

Lato skwarne znów wypędziło z Rzymu bogatszych mieszkańców, stolica pustą się stała; Jan nie odjechał; miał zawsze nadzieję.

Jedną z tych nocy czarodziejskich, które Włochy tylko mają, oblanych księżycem, wonnych; srebrzystych i bezsennych, sparty o okno swego dawnego mieszkania, na przeciw sklepu Milanese (gdz w nadziei że go tam Pepita szukać będzie, przeniósł się tu znowu) — siedział Jan smutny w oknie sparty i patrzył jak patrzy ci co nic nie widzą, trupiem okiem na drugi świat jakiś.

Głębokiemu jego westchnieniu, odpowiedziało drugie westchnienie, ale ciche i stłumione.

Zadrzał i obejrzał się.

Na przeciw niego stała — Pepita.

Zerwał się i chciał skoczyć przez okno, ale dziewczę krzyknęło i ku niemu pobiegło.

— Juanito!

I z kamienia nadrożnego rzuciła się w okno ku niemu, łapiąc rękoma za szyję, drżąca, splakana. On ją w pół pochwycił, podniósł w powietrze i sadząc na kolanach, milczący całował. Nie mógł mówić, chciał umrzeć i była to jedna z tych chwil co się opisać nie dadzą.

— Juan, mój Juan! tyś płakał po mnie.

— Umierałem, odpowiedział Jan. — O! niewdzięczna, za tyle miłości tak mi się wypłacić, śmiercią, gorzej niż śmiercią, bo nieopisaną boleścią.

Pepita oczy spuściła.

— Jesteś szczęśliwa — zapytał.

Dziewczyna westchnęła, ale nic nie odpowiedziała.

— Nie pytam, nie chcę badać cię o przeszłość — szeptał Jan — ale na Boga, na życie, wróć do mnie Pepita. Żyj ze mną.

— O! to być nie może, *Juanito caro*.

— Nie może, ty kochasz innego?

— Innego — on mężem moim.

— Mężem wykrzyknął Jan, i spuścił głowę na rękę. — A ona jakby go pocieszać chciała, jak dawniej, jak niegdyś, przytuliła twarz do twarzy, do ust usta, i objęła go i uściśnęła.

— Pozwól mi choć być z tobą, choć patrzeć na ciebie, choć służyć ci, bylebym cię nie stracił.

— Lucio by cię zabił.

— Jaki Lucio?

Pepita nic nie odpowiedziała. A po chwili: — Trzeba się rozstać Jua — nitoa ja ciebie Kocham — ale Kocham i jego. — Ja cię żałuję — i wiele, wiele łez wylałam po tobie. Ale być twoją nie mogę. Dawno już przychodzę pod to okno i patrzę na ciebie i płaczę, dziś twój smutek mnie zwyciężył. — A! Lucio! — dodała przerażona — ja wracać muszę.

I odpięła gałązkę świeżą jaśminu z włosów czarnych, przyłożyła do ust, oddała Janowi — To pamiątka, to ostatnia odemnie — *Adio*, na zawsze! na zawsze!

Nim Jan opamiętać się mógł, już Pepity nie było.

Ale boleść po niej silniej jeszcze rozdrażniona została — wedle słów ostatnich dziewczynki — na zawsze!

Nie wyszedł już Jan ze swojej izdebki, nie powrócił do kraju; gorączka naprzód, potem trawiące powolne zniszczenie, młode mu odjęło życie. Powoli gasły oczy, bladła twarz, łamała się męzka postawa, bieleły włosy i ostatek chwil jego, samem bił w żyłach cierpieniem. — Na cóż tak długiem?

XIX.

Podobny Manfredowi Byrona, podobny Byronowi samemu, Jan z uczuciem które najlepiej maluje Lord-poeta wspaniałym wieczorem letnim, leżał u stóp Colosseum Rzymskiego. Nad głową jego piętrzyły się nad arkadami arkady w krąg wielki, w pierścień kamienny, który z jednej strony czas odkąsił. — Gdzie nigdzie ze szpar rozwalonego muru puszczały drzewka chwiejące się od powiewu wiatru. — W jednej z arkad dolnych widna była kapliczka i płonąca w zagłębieniu lampa pod obrazem. Olbrzym pogański, jak nigdy Rzym sam, piastował w swém łonie iskierkę, co wielkość jego zżędz miała. Ta przytomność świętości zmniejszała ogrom pustego kolosu.

W dali, sinej dali, podniosły się pagórki, bieleły mury całe i połamane, zieleniały cyprysy ciemne i jasne topole. — I w uroczystej ciszy słycać tylko było — jak Manfred powiada — szczekanie psów za Tybrem.

Ale Jan nie widział nic, nic nie słyszał, w głębokiej zadumie, sparty na dłoni marzył, Bóg wie o czem. Może wiatr wiejący zdaleka przynosił mu wspomnienie kraju, lat dziecinnych, żywota tamtejszego, tak dziwnie odmiennego, może... — kto zbada serce ludzkie, chciał patrzeć na nie i płakać.

On tak tęsknił za przeszłością — za życiem co mu uciekało, bo już brakło w siebie oddechu, w nogach siły, w oczach wzroku, słuchu w uszach, krwi w sercu — wszystkiego — nawet chęci życia.

Po cóż żyć? dla czego? kiedy się wyczerpały nadzieje, rokosze, kiedy wszystko do koła pomarło, a nawet krzyże na grobowcach spruchniały, tak że mógł nie poznać?

Po co żyć, kiedy niema celu do życia, kiedy się przyszło do téj rozpaczki, co wiarę w siebie, w świat, nawet w przyszłość odbiera?

Jan też na bliski przewidziany zgon patrzył zimno, obojętnie, jak się patrzy na zachodzące słońce — ale bez myśli o jutrzejszym wschodzie.

I myślał mimowolnie, zwracając się u końca do kraju, do swoich. — Wszyscy tam zapomnieli o mnie, — ona, najpierwsza — on, ostatni — teraz wszyscy. — Dla czegożby pamiętać mieli? I ja gdyby mnie boleść nie ucisnęła, wspomniałbym na nich? Nigdy może. Teraz dolewam żółci do kielicha, aby

się kielich przepełnił i przelał, dobrowolnie. Smutek jest mi roskoszą jakąś dziwną, dumnym jest z mego nieszczęścia.

Te ostatnie słowa domówił głośno, domówił machinalnie, w języku swojej ziemi. — Westchnienie litośne odpowiedziało mu nanie. Z wolna, bez ciekawości prawie zwrócił oczy w stronę zkad przyszło.

W arkadzie muru, prawie nad głową jego stał mnich z siwą brodą, poglądał nań z litością, i powiatał znanym dźwiękiem rodzinnej mowy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. —

Z podziwu odpowiedź na ustach Jana zamarła; usłyszeć nagle mowę ojczystą, gdzie? w Colosseum Rzymskiem! Pierwszy raz od dawna ciekawość poruszyła nim.

— Ojce, — rzekł — jesteśmy więc ziolkami.

— Tak mój bracie — odpowiedział mnich — jednej polskiej ziemi synowie. Ale tyś nieszczęśliwy.

— A ty?

— Jam — spokojny! — odrzekł mnich. I powolnie po bryłach gruzu zszedł ku Janowi, siadł koło niego.

Słońce rzucając złociste, gorące blaski na widok cudny, zachodziło za sine wzgórze. Długo na nie patrzali w milczeniu. Potem Jan począł rozmowę.

— Ojce, rzekł, jakżeście w świecie się zwali i zkad rodem jesteście?

— Polak jestem, więc ci nie powiem. Niechę tego czegom się dawno zaparł przypominać. Powiedz ty mi raczej, dla czego wspomniłeś o dumie w nieszczęściu. Jesteś tak nieszczęśliwy?

Długo wahał się Jan, aż powolnie wyznał całe pismo życia przeszłego przed starcem. Starcowi łzy się kręciły w oczach zagasłych.

— Bracie mój — rzekł po chwili milczenia — prawa miłość żywi, namiętna zabija i truje.

— Lecz prawa chłodna mój ojce?

— Nie chłodna, ale wstydliva jest — a namiętna niestała i bez jutra. Pierwsza starzeje w szacunku, druga się zmienia w zdradę. A potem, bracie, możnaż tém jednem uczuciem żyć?

— A! można! — odrzekł Jan z zapalem — jam niem żył.

— Śrogo to, srogo u grobu ostre prawdy mówić słowa. Lecz o duszy twej nieśmiertelnej myślę i dając lekarstwo choć późne i gorzkie. — Bracie mój, niegodzi się żyć na świecie jednym sobą, dla siebie, dla namiętności swojej tylko. Życie powinno być poświęceniem ciągłym, cheszli prawego szczęścia, trwałej roskoszy, jaką daje wewnętrzne poznanie swej wartości. — Słuszna na ówczas dumą człowieka. Życie na jednem samolubnem uczuciu, to żywot jedwabnika, co się drogą swą nicią sam na śmierć obwija. O! Boże mój! miasto umierać z rozpaczki, nieznalazłżeś tysiąc śmierci pięknych, użytecznych braciom i społeczeństwu, coby świeciły potomnym gwiazdą przykłađu? Bracie mój, Bóg ci przebaczy zapewne zmnarowane życie, ale świat nie. Świat cię zapomni, jak ty zapomniałeś o świecie.

Jan słuchając zapłakał, uczył on słów tych prawdę i upokorzył się w duchu.

Mnich mówił dalej:

— Lecz czemuż życie i świat przy wieczności, mój bracie.

— Gdybym w nią wierzył! — z rozpaczką zakrywając oczy zaryczał Jan.

Mnich zamilkł na długo, łzy drugi raz kręciły mu się w oczach.

— O! prawda żeś nieszczęśliwy! — dodał z cicha. — Lecz możeż być abyś nie miał wiary? Czyś ją zgubił niebaczny, czy nigdy jej nie miałeś?

— Byłem sierotą.

— Wiara, to dzieło matki — żal mi ciebie. Lecz w braku jej, wszak bracie mój, samo pojęcie wskazuje człowiekowi, cel kędyś wyższy, drugi? Na cóż ta żądza doskonalenia, te postępy, szlachetne chuci? Wszystko to dla grobu i robactwa! I — ten co pojął świat i uczuł Boga, miałby zginąć na wieki prochem? — Bracie mój, biedni tylko niewidzą nieśmiertelności, i tacy mieć ją nie będą. — Ale ty do nich należeć nie możesz!

— Niestety, nigdy w to nie spojrział, co mi otwieracie — tak byłem zwinęty w sobie, tak w boleści swój zakochany, wtopiony!

— Jeszcze czas, czas jest zawsze, bracie.

— Ale nie dla mnie — odparł Jan.

I znowu milczeli długo posepnie. Słońce skryło się zupełnie, noc padała chłodna.

— Wróćmy do miasta — odrzekł Jan, powstając z ciężkością. I chciał się podnieść ale jak gładzator w Cyrku ranny, siły nie miał. Próżno starzec mu pomagał.

Ciało nieszczęśliwego schyliło się we dwoje, głowa zwiesiła, blade usta otwarły i ostatniem spójrzeniem żegnając Rzym, potem stronę rodziną — skonał.

* * *

Gdy wieść z Italii doszła do naszej ziemi o śmierci Jana — znalazła zimną Emilię — panną jeszcze, oczekującą dotąd przyjaciela dni młodszych i pogładającą na południe. — Cichemi łzy oplakała śmierć jego, włożyła żalobę jak po mężu i zgasła modłać się za niego.

A Pepita spytacie? Pepita ostatniego karnawału jeszcze, z Bernardem malarzem, któremu służy za wzór, przebiegała Corso tak wesółą, tak prawie piękną jak dawniej.

K O N I E C .

F. 1724

F1724-
-1728